ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 5. 30. I. 1937



CZARUJĄCA
TOLA MANKIEWICZÓWNA
W BARDZO ZABAWNEJ
KOMEDJI
„PANI MINISTER TAŃCZY"
GRA PODWÓJNĄ ROLĘ:
GWIAZDY KABARETOWEJ
I... MINISTRA

FOT. LIBKOW-FILM

ŚWIAT
REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXII. Nr. 5 30. I. 1937

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA.

GŁODNE DZIECI

Daj dziecku jeść, bo umiera z głodu.
Nie zwlekaj, nie wymawiaj się od daru.
Jeśli chcesz spokojnie zasnąć,
Nie marudź!
Daj przez litość — to jasne —,
albo daj „dla narodu",
albo przez sen, albo przez wstyd,
dlatego, że dał sąsiad żyd,
dlatego, że zostało i mdli od sytości
lub że piesek i tak ma już dość...
... Daj jak chcesz, byleś dał, bo dzieci mrą
w Polsce z głodu.

Wstańcie malcy z barłogów plugawych,
wyjdźcie na świat, do narodu:
grzechem jest — w sercu Warszawy
umierać od robactwa i głodu!
Wyjdźcie skarlałe, złe i suchotnicze
z prawdziwem w świetle obliczem;
Świat was umyje, obuje, ogarnie,
lecz przedewszystkim niechże was nakarmi.

Pisze się dla Basiulki książki dziecinne
o wstążkach, kotkach, łące kwietnej.
a tam w suterynie ktoś inny
— dziki, zawszony, szpetny.
Nie wolno w książce urazić słowem
o pluskwie, bo to tak brzydko,
bo jakieś usteczka różowe
„pluskwa? Co to?" Mogłyby spytać.

Polskie dzieci mrą z głodu przy nas.
Kto to wytrzyma?
Po szkołach, przedszkolach nie starczy jadła.
Jaś wstaje głodny, głodny się układa,
i nie wyrośnie nigdy na człowieka...
Potem się powie, że Jaś nie doczekał.
Lecz teraz żyje, tuż obok się chowa,
skoro go dojrzysz, biegnij go ratować,
Nie mów, że masz w domu gości,
że służąca wynosi pocichu rodzinie...
Idź, biegnij najwcześniej
— może zapóźno będzie, po godzinie —
W dół czy w górę po schodach...
Śpiesz, śpiesz, bo dziecko w Polsce mrze
z głodu!

DWANAŚCIE LAT TEMU CO 570-TY
DZIŚ CO 15-TY OBYWATEL POSIADA KSIĄŻECZKĘ P. K. O.

Dnia 21 bm. odbyła się w P. K. O. doroczna konferencja prasowa, na której prezes P. K. O., dr. Henryk Gruber, przedstawił rozwój tej instytucji w ciągu roku 1936-go, podkreślając dalszą, nader pomyślną jej działalność.

Ogólna suma wkładów wzrosła w roku 1936 w porównaniu z rokiem poprzednim o zł. 13.981.942.60 i osiągnęła sumę 893,7 mil. zł. Osiągnięta ogólna suma wkladów stawia P. K. O. na pierwszym miejscu pośród zespołów instytucyj finansowych w Polsce. Instytucja nasza gromadzi około 1/3 globalnej sumy wkładów w Polsce.

Dział oszczędnościowy wykazuje w roku sprawozdawczym nieznaczną różnicę wkładów, wynoszącą 13 mil. zł., co przypisać należy w dużym stopniu odpływowi wkładów większych, które wykazywały tendencje do inwestycji i przeszły na wkłady czekowe, które wykazały wzrost o 29,6 mil. zł.

Ogólna suma wkładów oszczędnościowych osiągnęła na koniec 1936 r. sumę 663,7 mil. zł. Liczba książeczek oszczędnościowych wzrosła w roku sprawozdawczym o prawie 400 tys., osiągając na koniec r. 1936 liczbę 2,287.000. *W ten sposób jedna książeczka PKO. przypada na 15-tu mieszkańców.*

W obrocie czekowym globalna suma obrotów wzrosła o 376 miljonów zł. i wynosiła 28,1 miljarda zł. Wzrost wykazuje również liczba kont czekowych, mianowicie o 1.490 do liczby 77,991 kont. Stan wkładów na kontach czekowych wynosił na ultimo roku sprawozdawczego 231,9 mil. zł., a więc w porównaniu z końcowym stanem z 1935 r. wzrósł o 29,6 mil. zł.

Z ogólnej sumy obrotu czekowego w wysokości 28,1 miljard. zł. na obrót gotówkowy przypada 6,8 miljard. zł., zaś na obrót bezgotówkowy 21,3 miljard. złotych.

Dynamika rozwojowa działu ubezpieczeń na życie wykazuje wzrost zarówno liczby polis jak i sumy ubezpieczenia. W ciągu 8 i pół lat jego istnienia osiągnięto 123 tysięcy polis ubezpieczeniowych na ogólną sumę ubezpieczenia 183,7 mil. zł. Fakt stałego przyrostu liczby polis ubezpieczeniowych dowodzi, że ten typ ubezpieczeń najbardziej odpowiada sferom średnio zamożnym; szereg zaś ułatwień stosowanych przy ich zawieraniu, wpływa niewątpliwie na popularyzację tej formy przezorności życiowej.

Akcja kredytowa PKO., prowadzona drogą skupu papierów o stałym oprocentowaniu, a więc akcja alimentowania życia gospodarczego tanim kredytem długoterminowym wykazała się w r. 1936 sumą 696,1 mil. zł., a łącznie z Działem Ubezpieczeń na Życie — 723,9 mil. zł. W roku sprawozdawczym udzielono za pośrednictwem Banku Gospodarstwa Krajowego na finansowanie akcji budownictwa mieszkaniowego zł. 46.480,000,—, na inwestycje komunikacyjne złotych 12,600.000,— oraz na inwestycje komunalne zł. 4.461,000,— Szczegółowe zestawienie portfelu papierów wartościowych PKO. wykazuje, że na papiery emitowane przez państwo i instytucje kredytu długoterminowego na cele gospodarcze przypada 83,1 proc. portfelu, zaś na papiery państwowe o charakterze skarbowym, względnie budżetowym — 11,9 procent.

Kredyty krótkoterminowe, do których zaliczamy kredyty na zastaw papierów wartościowych, skup weksli i akceptów, kredyty wekslowe oraz pożyczki hipoteczne i na zastaw polis, wzrosły łącznie o 3,6 mil. zł., osiągając na koniec roku sprawozdawczego 43,1 mil. zł. Na uwagę zasługuje również zapoczątkowana w tym roku akcja kredytowania drobnego kupiectwa, która ze względu na dogodne warunki spotkała się z wielkim uznaniem ze strony zainteresowanych sfer.

Wartość lokat w nieruchomościach PKO., łącznie z Działem Ubezpieczeń na dzień 31. XII. 1936 r. wynosiła 47,3 mil. Łączna suma lokat PKO. w papierach wartościowych, kredytach krótkoterminowych i nieruchomościach wynosiła na koniec roku sprawozdawczego 814,3 mil. zł., wzrosła więc w porównaniu z r. 1935 o 62,3 mil. zł.

Aktywa pierwszego stopnia płynności utrzymywane były stale na wysokim poziomie i w r. 1936 wynosiły one około 27 proc. powierzonych kapitałów.

Operacje w dziale przekazów zagranicznych kształtują się nadal pomyślnie, i to pomimo zaostrzonych ograniczeń dewizowych w różnych krajach. Ilość zleceń załatwionych w tym dziale wynosiła w roku sprawozdawczym 181,212 na ogólną sumę 46.6 mil. zł. Utworzone w PKO. specjalne Biuro Dewizowe załatwiło w okresie sprawozdawczym 4,932 zlecenia.

Dział inkasa weksli przyjął 423 tys. weksli na globalną sumę 61,5 mil. zł., w porównaniu zatem z rokiem poprzednim dział ten wykazuje wzrost weksli inkasowych o 73 tys. sztuk.

W dziale zleceń giełdowych wykonano w roku ubiegłym 10,141 zleceń zakupu i sprzedaży papierów wartościowych i dywidendowych na łączną sumę 18,6 mil. zł., co stanowi 20 procent ogólnych obrotów papierami wartościowymi i akcjami, dokonanych w r. 1936 na giełdzie warszawskiej. W porównaniu z rokiem poprzednim ilość dokonanych transakcyj wzrosła o 43 procent.



Dr. Henryk Gruber, prezes P. K. O.

W związku z konwersją państwowych pożyczek wewnętrznych na 4% Pożyczkę Konsolidacyjną, PKO wydała z tytułu wspomnianej konwersji obligacji Pożyczki Konsolidacyjnej na sumę nominalną zł. 113,800.000.—.

Dział depozytowy i skarbiec kasetek depozytowych wykazują w roku ubiegłym dalszy wzrost.

Bank PKO. w chwili obecnej posiada 4 placówki zagraniczne, mianowicie w Paryżu, w Buenos Aires, w Tel Aviv'ie oraz Wydział Przekazowy Linji Gdynia—Ameryka w Nowym Jorku.

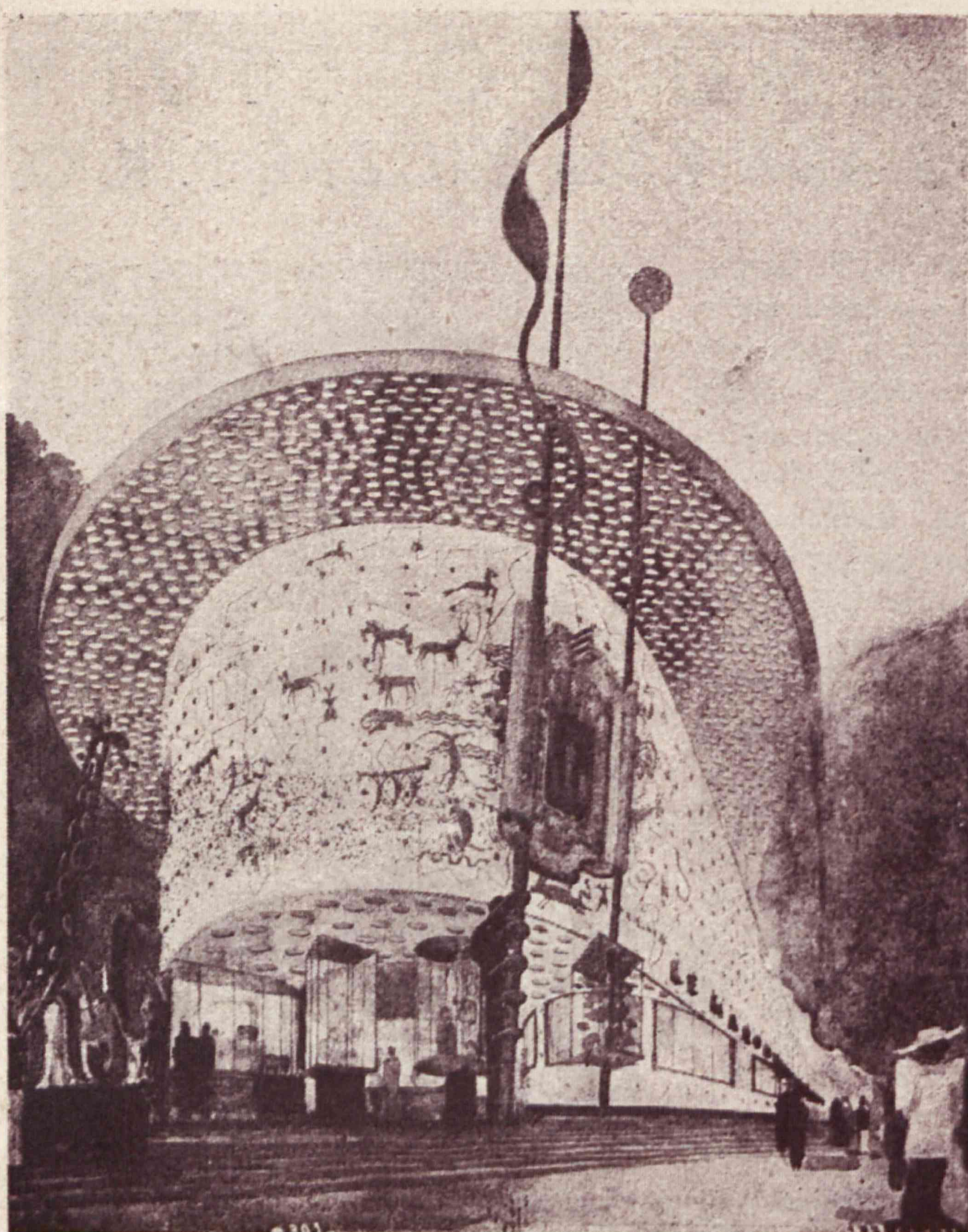
Ogółem suma wkładów pozyskanych przez Bank PKO. wynosiła na koniec 1936 r. w przeliczeniu na złote 30,874 tys. zł. Ogólny obrót Banku PKO wraz z jego placówkami zagranicznymi wynosił w roku 1936 około 900 mil. zł.

Reasumując powyższe uwagi, widzimy, że działalność PKO. sięga dziś do najdalszych zakątków kraju, do wszystkich bez wyjątku sfer społeczeństwa, a także poza obręb naszego kraju, spełniając misję krzewienia idei oszczędności i przezorności życiowej wśród Polaków.

ST. ŁAZARSKA.

PIERWSZA PO WYSTAWIE 1937

(Korespondencja

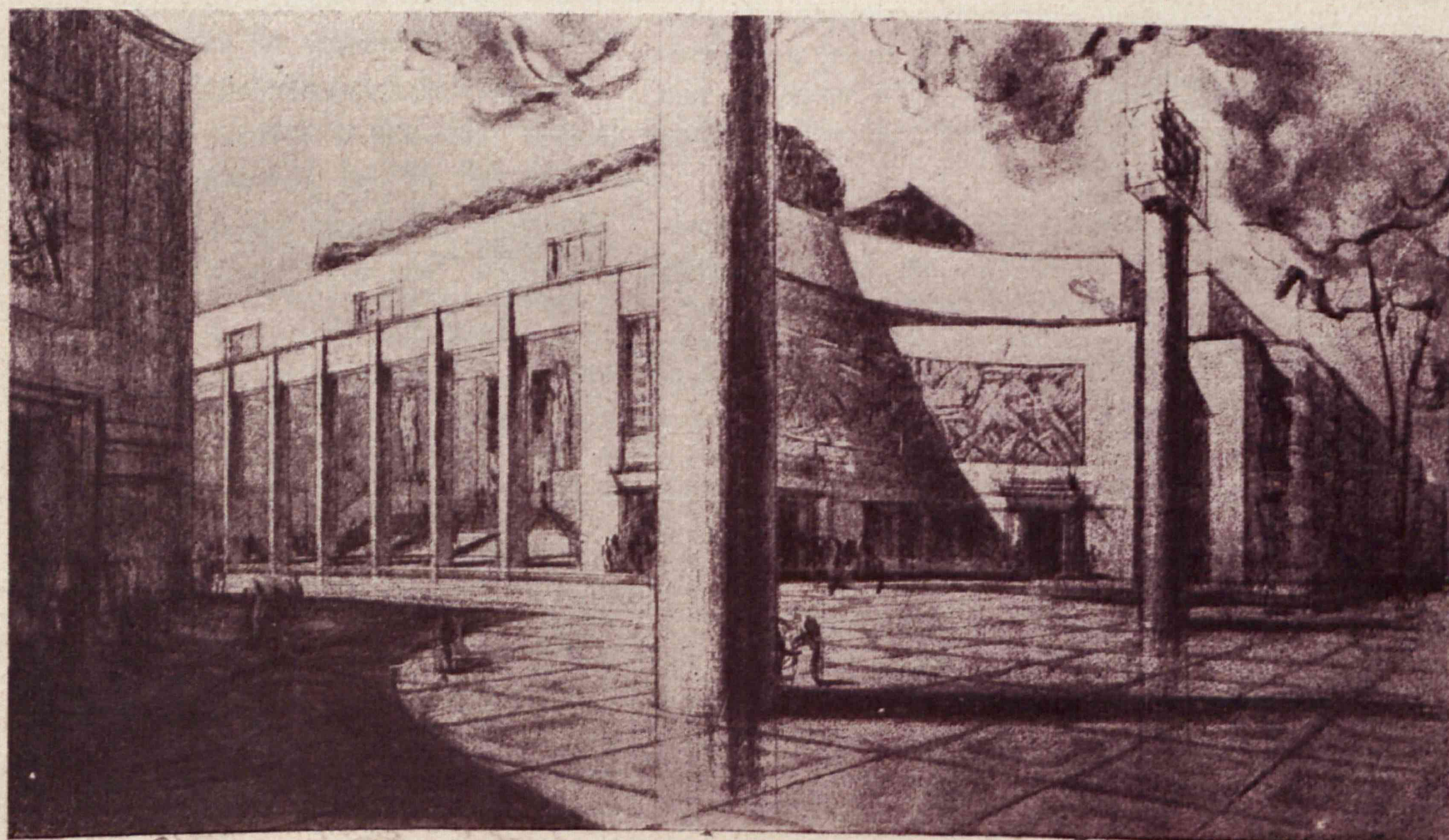


Pawilon galanterji skórzanej.

„Art. technique, beauté, charme, évolution,
Se donnent rendez-vous
à Exposition".
(Slogan nagrodzony na konkursie).

„Sztuka i technika" to hasło wystawy paryskiej 1937. Zobaczymy tam nie same tylko rezultaty tej współpracy, lecz rzemieślnika i warsztat w ruchu, nie- tylko eksponaty, ale i ich powstawanie i rozwój, od surowca do wycyzelowanego dzieła sztuki. Od prymitywnej obróbki w kolonjach do najnowszych zdobyczy techniki.

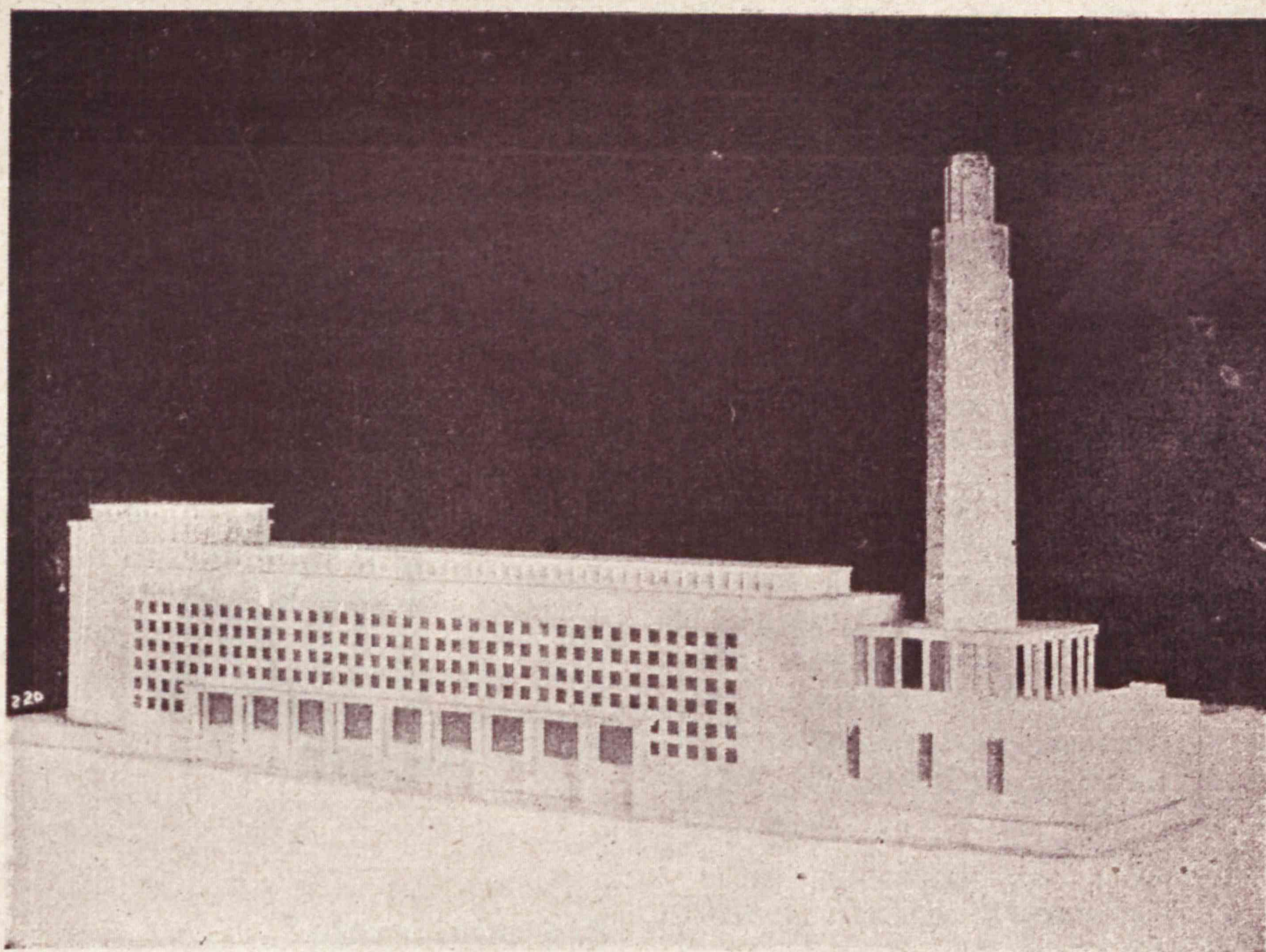
Przeznaczone na wystawę 100 ha zostały już przekroczone i zapewne podwoją się. Tereny, położone po obu stronach Sekwany od mostu Inwalidów do wyspy Łabędziej zamieniają się na nowe, międzynarodowe miasto, mieszczące w sobie kilkadziesiąt narodów z całej kuli ziemskiej i całą Francję metropolii i kolonii. Państwo i miasto Paryż wyasygnowały już przeszło 600 miljonów franków, w tym 100 miljonów na prace artystów. Wszystkie bowiem budynki i pawilony ozdobione są freskami, rzeźbami wewnątrz i zewnątrz. (800 artystów jest zajętych). Niektóre z nowych budowli, jak muzeum sztuki, budowane na dawnym terenie ambasady polskiej, pozostanie — podobnie jak muzeum Kolonji zostało po wystawie 1931.



Pawilon tkanin i gobelinów.

PRZECHADZKA PARYSKIEJ ROKU

własna „Świata")



Pawilon zimna.

Dynamitem rozsadzona skała Trocadero ustąpiła miejsca nowopowstającej wielkiej sali widowiskowej, nowym sadzawkom, wodotryskom i kwietnikom. Z tarasu między skrzydłami etnografji i rzeźby porównawczej widok rozległy na tereny całej wystawy. Na pierwszym planie pawilony wszystkich państw, u stóp wieży Eiffla rzemiosła francuskie i prowincje, na wyspie Łabędziej barwny świat kolonii: porty egzotyczne, warsztaty i mieszkania tubylczych rzemieślników, obrabiających drzewo, metal, kość słoniową i lakę.

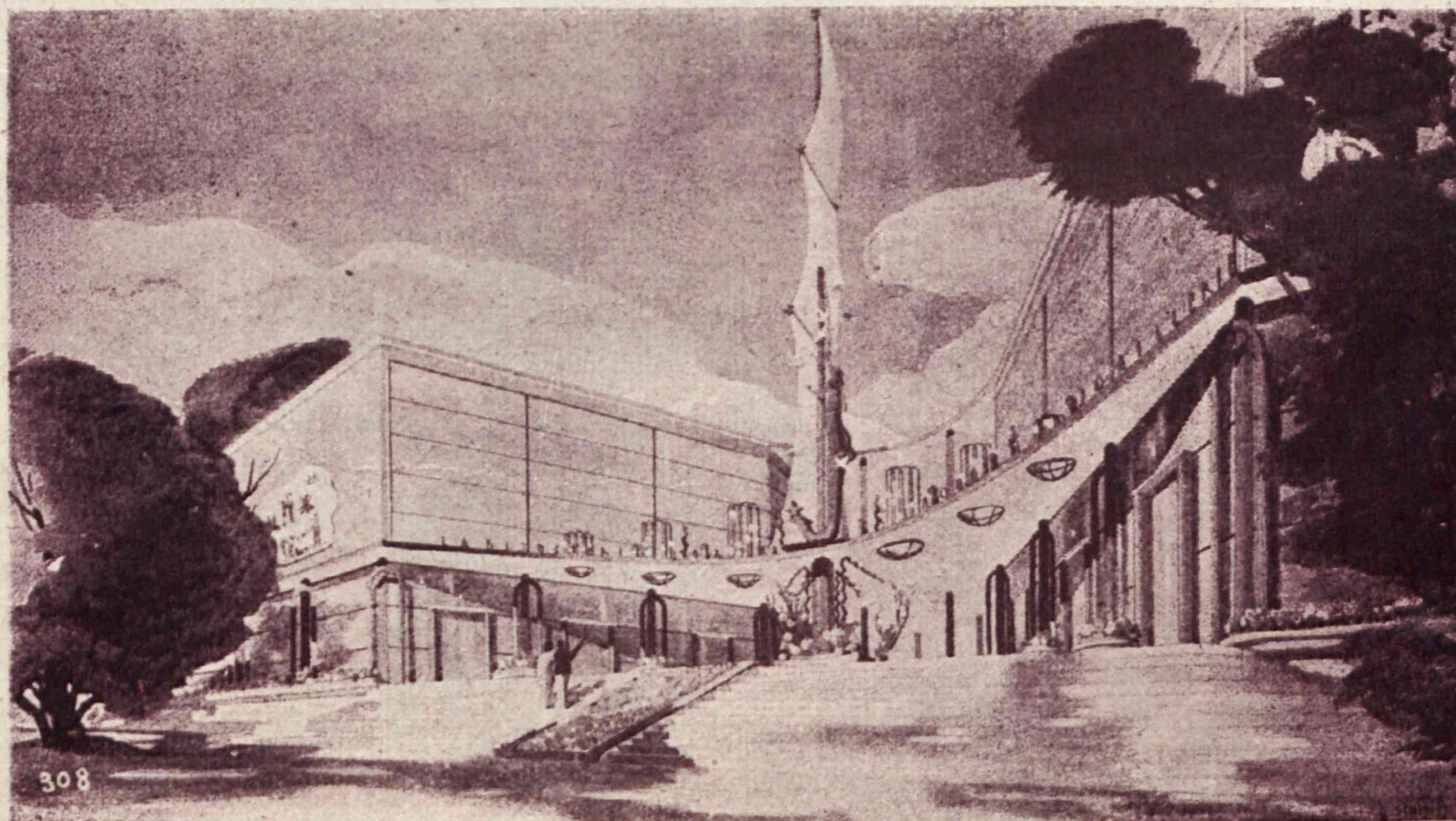
W grupie rzemiosł pawilon metali, cały z metalu i szkła. Widać tam zastosowanie metali od rudy począwszy do mebli i biżuterji. Metal jako blacha, tuba, metal kuty, lany, miedź z cyną, żelazo z chromem, metale kolorowe, emalie i t. d.

Pawilon ceramiki cały z porcelany sewrskiej, a wewnątrz wyroby ceramiczne od grubych kafli do biżuterji.

Wszędzie świetlne wodotryski i kwietniki.

Nowy ogród botaniczny przy Grand Palais, zawierający egzotyczne najrzadsze rośliny świata, oświetlony ukrytymi w gałęziach reflektorami zamienia się na raj zaczarowany. Mnóstwo z nim świecących fontann i sadzawek. Aby ułatwić zwiedzanie wystawy, uruchomione będą kolejki elektryczne i chodniki ruchome (ponad jezdnią). Niższe brzegi Sekwany zamienione na kwietne i cieniste bulwary pozwolą zwiedzającym przyglądać się barwnym i świetlnym wodnym widowiskom.

Na tym kończymy pierwszą, pobieżną przechadzkę po wystawie.



Pawilon klejnotów.

POŁÓW PEREŁ



„Festina lente"...

Jest takie włoskie powiedzonko — *„festina lente"*. Znaczy: spiesz się powoli. Jest jeszcze drugie: *„Chi va piano, va sano e lontano"*. Znaczy: kto jedzie wolno, dojeżdża cało i daleko...

Widocznie te piękne maksymy wyryte zostały w lokalu „Komitetu Pomocy Zimowej", specjalnie w dziale rozdawnictwa ciepłej odzieży bezrobotnym. Wzywano stolicę do ofiarności. Dała, na co ją było stać. *45 tysięcy paczek odzieży* zebrano w ciągu dwóch dni.

Kiedy?

W pierwszych dniach grudnia ub. roku.

Więc ubogich na szczęście przyodziano, w myśl ewangielicznego wezwania?

„Festina lente"... Nie bądźcie w gorącej wodzie kąpani... Nadzy mogą poczekać... na mrozie! Do dnia 20 stycznia — czyli przez SZEŚĆ TYGODNI — ani jedna paczka nie przeszła z rąk Komitetu do rąk obdartego nędzarza, dla którego była przeznaczona.

Niedyskrecja — i dyskrecja

W Los Angeles wyszło rozporządzenie, aby urzędnicy stanu cywilnego nawet przy aktach tak ważnych, jak udzielenie ślubu, nie wymagali od kobiet ścisłego precyzowania ich wieku. Wiek kobiety jest jej prywatną tajemnicą — takie tam są gentlemeńskie zasady.

Bodaj to Los Angeles!

U nas — aby *wynająć w banku kasetkę na przechowanie* „rodowych precjozów" czy innych iluzorycznych kosztowności — musisz, nieszczęsna niewiasto, zjawić się... z pasportem w ręku. A jeśli go nie masz — to wymaga się w każdym razie dokładnego stwierdzenia dokumentem, *ile lat ma klijentka*, która popełnia taką zbrodnię i wynajmuje sobie kasetkę.

Wcale nie żartuję! I znam wypadki, kiedy klijentka wściekła się na tak idjotyczne przepisy — i wyszła, nie wynająwszy kasetki.. Może miała też przynieść świadectwo szczepienia ospy?

Kto miał rację?

Naród powinien mieć poszanowanie dla swego Państwa. Państwo powinno wzamian traktować naród sprawiedliwie. Nie jest dobrze, gdy np. procesując się z Państwem — obywatel wygrywa sprawę. Bo wtedy okazuje się — że *„Państwo nie miało racji"* — co jest zawsze pewnem obniżeniem autorytetu.

Niedawno premjer Składkowski osobiście dokonał lustracji kramów i straganów warszawskich. Znalazł brudy i wyśrubowane ceny — i *stante pede* ponakładał wysokie grzywny. Byliśmy tem wszyscy zachwyceni. To jest energja i skuteczna aktywność!

Otóż — czy skuteczna — to jeszcze pytanie. Bo straganiarze, którym pan premjer ponakładał grzywny, odwołali się do sądu okręgowego. I sąd im kary — wydatnie złagodził.

Ponieważ nie wolno krytykować ani wyroku sądu, ani zarządzeń premjera — obywatel, ten „szary" i powolnie myślący, stuka w palce i puka się w głowę.

I ma nowy kłopot. Rozwiązać zagadkę: *kto miał rację?*

Zmodernizowane przysłowia

„Gość w dom — Bóg w dom". I nowe kłopoty z urzędem skarbowym...

*

„Wystawili ministra do wiatru"... który wiał z zachodu.

*

„Pije Kuba do Jakuba" — a Moszkowicz ręce zaciera.

My też

Znana jest oryginalna teza obecnej gospodarki niemieckiej, że *„armaty muszą zastąpić masło"*. Nie wszystkie państwa, na szczęście, hołdują tej teorji.

Min. Eden na wielkim bankiecie prasy zagranicznej w Londynie wygłosił mowę, w której podkreślił z naciskiem: *„My stanowczo wolimy masło niż armaty"*.

Chwała Bogu! My też, panie ministrze. My też...

Aż do znudzenia to samo...

W roku ubiegłym fabryki samochodów i motorów zarobiły w Niemczech okrąglutki MILJARD MAREK. Przemysł akcesoryjny, związany z produkcją samochodów, miał obrót *700 miljonów marek*. Obroty w handlu motorowym (sklepy, przedstawicielstwa) — wyniosły 3 MILJARDY 300 TYSIĘCY ZŁOTYCH. (Półtora raza więcej, niż cały budżet naszego państwa)...

Same garaże zarobiły... *700 miljonów złotych*, szkoły jazdy na samochodach — *70 miljonów*. Szoferzy — słuchajcie, słuchajcie — *DWA MILJARDY ZŁOTYCH!* (Te wszystkie liczby bierzemy z „Czasu").

Ale samochody nietylko chodzą i spalają benzynę. One też — rozwożą ludzi. Ci turyści „motorowi" zostawili w hotelach niemieckich przez rok 900 miljonów złotych.

Czy motoryzacja zwalcza bezrobocie? Zobaczmy, jak jest w Anglji. Ruch autobusowo-ciężarowy zatrudnia tam *miljon trzysta tysięcy ludzi* — podczas gdy koleje mają zaledwie *połowę* tej ilości pracowników.

Każdy samochód, który chodzi — wprawia w ruch nietylko swoje cztery koła, ale nieskończoną ilość kółek ogólnej machiny gospodarczej. Tępaki, którym zawdzięczamy śmierć naszej motoryzacji i nasz katastrofalny stan bezbronności — nigdy nie były zdolne do zrozumienia tej elementarnej prawdy.

W rezultacie — konstatujemy, że nam w ciągu roku przybyło w stolicy — *paręset* pojazdów mechanicznych...

„Poeta"

Nazywa się „Grzegorz de Navarra". Wydał tom „poezji" sumptem, prawdopodobnie, własnym — co nikogo nie hańbi. Hańbią go natomiast — owe „poezje".

Tytuł: „Z pola chwały".

Są tam takie kwiatki:

„Miałem sen,
ciężki grzmot,
czuję woń
trupich rot,
trwogi swąd..."

A znowu gdzieindziej jest tak:

„Są metody tam na stosie...
Na stos! rzućmy mleczne prątki
Niech pioruny rodzą grządki"...

I jeszcze:

„Jednak naprzód idź mimo
gromu!
Pełen ognia świeć, nie znaj
sromu
Na pole chwały nieś jestewstwo
Po trudach sławy — tam
edeństwo!"

Albo tak:

„Swawola! Heca!
wyścig targu!
Tłum się podnieca,
pełno largu
Wtem Wódz ściągnął brwi,
ścichli szuje...
Wyścig pracy — brzmi,
On moc kuje!
Zdławił sejmowładztwo
wskazał drogi!
Zamarło partactwo
bo kraj drogi!...
Jeno niezgoda
niszczy moce...
Wielka stąd szkoda:
kraj chromoce.
Bolesław Chrobry
ćwiczył w łaźni,
był przeto dobry,
wielki w jaźni".

No cóż, westchniemy sobie — jeszcze jeden grafoman. I, jak wielu innych, uczepiony kurczowo „rydwanu" tych, którzy dziś dzierżą władzę... Takie ciury — to jest zawsze nieszczęście „obozów rządzących".

Nieszczęście?

„Poeta" *de Navarra* otrzymał i wydrukował na wstępie swej książki taką oto autorytatywną aprobatę swej wiekopomnej twórczości:

Do autora „Z pola chwały".

„Przesłany mi rękopis przeczytałem sumiennie.

Dusza się raduje, gdy w erze kryzysu myśli wysoko niesiesz drogi Autorze, nieskalany sztandar polskości. Idziesz do Narodu z gorącem sercem i piorunami myśli.

Recenzje Twego cennego dorobku naukowego i literackiego napisali już inni, jak np. „Pedagog i Obywatel" dr. L. Kam. i Ł. B., „Nowa Gaz. Kiel." w nr. z dn. 15.XI.1933, „Stulecie szkolnictwa" 1932 r., W. Wiącek. Ja przeto, życząc Ci, Drogi Autorze, serdecznego przyjęcia „Z pola chwały" przez Rodaków, zachęcam Cię zarazem do dalszej pracy na polu naukowo-literackiem. Tak wszechstronny i bogaty twój dorobek literacki został rozrzucony po dziennikach, tygodnikach itd., pragnę, aby rychło ukazał się zbiór Twych prac w imię ogólnego dobra.

Cześć!"

(—) Świtalski.

Wszystkie te wiadomości czerpiemy z „Myśli Narodowej". Nie przypuszczamy, żeby je złośliwie ...wyssała z palca. Przypuszczamy raczej, że ów Świtalski, to wcale nie ten, o którym myślimy, ty i ja, czytelniku. Bo „ten" — raczej interesuje się tenisem i tańcem, więc skąd nagle taki zapał do... literatury?

Ale gdyby tak wogóle i jeżeli?

Przyczyny — i skutki

Odważna, bolesna mowa min. Grabowskiego napiętnowała grasującą w Polsce korupcję i złodziejstwo grosza publicznego. To są niestety — czego minister nie powiedział — *objawy* towarzyszące stale (nietylko u nas) rozwielmożnieniu biurokracji przy zahamowaniu aktywności parlamentu i prasy. W systemie prawdziwej wolności słowa — wolności, nie swawoli — prasa byłaby dawno wskazała czynnikom stojącym u góry, co i gdzie dzieje się *wbrew prawu*. Taksamo normalny i normalnie funkcjonujący sejm nie tolerowałby latami ani Krzysztoforskich, ani Parylewiczowych, ani Twardowskich et consortes.

Jest jeszcze inny objaw tej samej bolączki: mianowicie niemal terorystyczne praktyki różnych związków, stowarzyszeń, etc., wymuszających od społeczeństwa „dobrowolne" świadczenia. I tu dzieją się rzeczy które się dziać nie powinny. Wobec wszechwładzy różnych takich związków (czasem nawet w zasadzie zacnych, ale często nadmiernie wymagających) — powstała pewna kasta hochsztaplerów, którzy na tem podłożu żerują w sposób kryminalny.

Oto wykryto np. szajkę aferzystów, którzy wymuszali datki i świadczenia na Związek Oficerów Ziem Wschodnich. Wymuszali groźbami i terorem. Ludzie dawali — bo czuli... *respekt* dla Związku.

Respekt był, jak się okazało, źle ulokowany.

Bo ów Związek — *wogóle nie istnieje.*



Arizona

Przypuszczam, że samotna podróż nocna przez Arizonę nie należy do najbardziej spokojnych. Jakże miło natomiast wsiąść sobie w Warszawie do przedziału kolejowego, gdzie ciepło, widno i bezpiecznie...

Hm... bezpiecznie? Czytamy w prasie codziennej:

„Do wagonu klasy II-ej pociągu pospiesznego Poznań — Warszawa wtargnął koło stacji Włochy jakiś opryszek, porwał futro, należące do jednej z pasażerek, a na wszczęty alarm *zadał jej kilka ciosów kastetem w głowę* i zbiegł, nie zapominając zabrać ze sobą futra".

No, w Chicago jest napewno gorzej. Tem się pocieszajmy.

„Na Zachodzie nic nowego"

„Prusy — to nie jest kraj, który posiada armję. To jest armja, która posiada kraj".

Kto to powiedział?

Mirabeau.

W wieku XVIII-ym.

Jak widzimy — nic się nie zmieniło.

Uparty nurek.

KARNAWAŁOWE ROZKOSZE WARSZAWY

W POŁOWIE UBIEGŁEGO STULECIA

Podajemy drugi z kolei fragment charakteryzujący życie i obyczaje naszych pradziadów, pióra W. Wilczyńskiego.

Naczelnikowa jak można najgłośniej wyjmując rublowe papierki, mówi do męża: Lożę pierwszego piętra między 6 a 12 numerem, koniecznie na dziś, pamiętaj Teofilku.

— Dobrze, a jak niema?

— Eh ty znajdziesz, tylko bądź łaskaw idź zaraz, nie zatrzymuj się, bo będzie nierychło.

Naczelnik wychodzi i spotyka się oko w oko z przybyłym jegomością: jestto młody jeszcze wysoki przystojny obywatel, bo czoło ma jaśniejsze od reszty twarzy, a wąsy żółtawego koloru od słońca przepalone.

— Upadam do nóg pana naczelnika dobrodzieja.

— Upadam... loża pierwszego piętra między 6 a 12... niechże pan siada, bardzo proszę... pięć rubli koniecznie... — I zafrasowany radca ubiera się czemprędzej, nie zważając na pokorną minę klijenta.

— Pan radca dobrodziej zajęty?

— Och bardzo zajęty — odpowiada zaczesując przed lusterkiem rozpierzchłe resztki łysiny.

— Kamilka wieleby skorzystała ze śpiewu, może rozkupione... pierwszego piętra...

— A ja właśnie chciałem prosić pana radcę dobrodzieja o rozpatrzenie tych papierów.

— Przepraszam, nie mogę... tego pięć rubli... między 6 a 12 numerem... to w biurze najlepiej,— mówi naczelnik szukając laski i kapelusza.

— A czy nie pozwoliłby mi pan naczelnik dobrodziej zająć się kupnem tych biletów? bo o ile mogłem dosłyszeć rozmowę państwa, idzie tu o lożę na dzisiejsze przedstawienie Żydówki.

— Prawda! — wyrzekł naczelnik zatrzymując się przy drzwiach — prawda, poczekaj pan z łaski swej chwileczkę, ja się dowiem.

— Duszko moja — mówi do żony zostawując drzwi otwarte, — czyby to nie mógł ten pan... jakże on się nazywa...

— Wiem, wiem, Chocikowski— odpowiada śmiejąc się naczelnikowa. — Oj ty zapominalski, prawdziwie bardzoby to dobrze było, ależ się niegodzi zatrudniać tyle grzecznego pana naszemi interesami.

— Pani dobrodziejka przebaczy — odzywa się stawając we drzwiach interesant... — Dzień dobry pani naczelnikowej, dzień dobry... ależ ja tylko chcę wyręczyć pana naczelnika! Istotnie bardzoby mi było przyjemnie przysłużyć się paniom, szczególniej pannie Kamilli, takiej amatorce śpiewu, pani uszka będą miały tę przyjemność wysłuchać dzisiaj... zaciął się nie wiedząc jak dokończyć i wybiegł na schody.

* * *

Wieczorem panie rozpoczęły przygotowania przed pójściem do teatru.

Panna Kamilla prowadziła swą toaletę. Uczesała warkocz, przywiązawszy go do poręczy krzesła, bo dzisiaj kobiety, na wzór Pinetego umieją oddzielać różne części swego korpusu bez zepsucia całości, umyła się dwa razy, to jest serwatką i papką z mąki razowej, delikatnym pendzelkiem posmarowała brwi i rzęsy, niewinną wodą blejwasową, (która wcale nie jest bielidłem, a tylko wodą płeć udelikatniającą) potarła rumiane policzki, trysnęła w oczy nieco olejku ze skórki cytrynowej dla nadania im blasku, potarła czarną kawą wąziutkie usteczka, ale nie dlatego, żeby miały być czarne, potem kładła na siebie, przywiązywała, spinała, odpinała, stosy różnego rodzaju materyj, strzępków, kolczyków, brosz i bransoletek, a w końcu ujrzała się w postaci rosochatego świerku, którego gałęzie śnieg przyprószył.

W godzinę później w jednej z lóż pierwszego piętra wielkiego teatru mężczyźni siedzący w krzesłach mogli podziwiać dwie pary dużych świecących bransolet, osadzonych na dwóch parach tłustych, świecących rąk, których palce jeszcze wsadzone były w dwie pary żółtych rękawiczek. Otóż te dwie pary bransolet, dwie pary jakby piaskiem nasypanych rękawiczek, należały do pani naczelnikowej, rozmawiającej z naczelnikiem i do panny naczelnikówny, podbijającej siedzącego tuż za nią obywatela Chocikowskiego.

Ciasno było w loży, więc pani naczelnikowa zaczęła rozmyślać nad tem, czemu pan naczelnik nie jest płaszczem, któregoby na kołku zawiesić można, a panna Kamilla rozpowiadała obywatelowi, iż dlatego passyami lubi operę, że najczęściej dekoracje przedstawiają okolice wiejskie, a tylko te zachwycać ją mogą.

— Teofilu, oj na miłość Boską, połamiesz mi sprężyny u krynoliny — odzywa się półgłosem wachlarzem zasłonięta naczelnikowa.

— Mój aniołku, odpowiada również cicho małżonek — to twoje żelaza mnie połamią, już czuję skaleczoną nogę.

— Nie uwierzysz pan, ile te kaczki, gęsi, a nawet maleńkie francuzy mają dla mnie poezji — mówi Kamilcia paląc obywatela cytryną zakropionym wzrokiem.

— Przepraszam cię duszko, wtrąca naczelnikowa, nie wiedząc o co idzie — przecież mówią, iż tylko małe niemcy mają najwięcej poezji i wyglądają nakształt Rafaelowskich aniołków. Ja sama, jak mąż naczelnik powiada, który mię znał jako sześcioletnią dziewczynkę, byłam poetycznym aniołkiem.

— Za pozwoleniem moich państwa, odzywa się wsunięta między nich głowa naczelnika, jak państwo sądzicie, ile tu może być stopni ciepła, co?

— Ach, papo!

— Ach, Teofilu, możebyś drzwi uchylił, tu takie gorąco!

Zastraszony naczelnik obraca się nagle i wypchanemi kieszeniami surduta wytrąca kapelusz obywatelowi.

— Ach, Teofilu do czego ty jesteś? — mówi skwaszona małżonka, popychając lekko poły surduta, — co ty tu masz tak twardego?

— Dalibóg że nic, chustkę do nosa, aniołku.

— Ależ twarde, mówię...

— Nie wiem, mruczy, wciąż

obrócony ku drzwiom i wyciąga z kieszeni prawie za lożę dużą podługowatą bułkę. — A niech że cię, zapomniałem.

— Teofilu, schowaj, krzyczy już zarumieniona małżonka, gdy kilkanaście lornetek z przeciwnych lóż kierują się w tę stronę, a paradyz zaczyna klaskać wołając: fora!

Szczęściem podnoszą kurtynę i cała katastrofa kończy się na tajemnie posłanym kułaku panu naczelnikowi.

Wszystkich oczy zwracają się ku scenie, prócz pana Teofila zajętego upakowaniem bułek w kieszeni i prócz pana Stolarskiego, siedzącego w pierwszym rzędzie galerji. Z nastrzępioną głową, podparłszy oburącz głowę, wzrokiem wawelskiego smoka pochłania on pulchniutką postać panny Kamilli, a ile razy dostrzeże uśmiech jej dla wąsatego obywatela, rzuca się z taką zapalczywością, że sąsiad jego, przyjaciel profesor pyta:

— Co u djabła wiercisz się jak owad na szpilce?

— Patrz, ona się wdzięczy do niego, zalotnica...

— Gdzie, do kogo?

— W szóstej loży pierwszego piętra któżby jak nie Kamilka, do tego lnem pokrytego wełniarza...

— To ta tłusta brunetka, w ceglastej sukni?

— Ona.

— A doprawdy mój Marcelku, masz prawdziwie gust turecki.

— No dlaczego — zapytuje cały w płomieniach, bo właśnie w tej chwili spojrzała ku niemu owa kobieta w guście tureckim. Spojrzała, on się ukłonił, a ona udała, że go nie widzi. Poczekajże panno ze sztucznemi zębami... niech zginę, niech się zapadnę, niech... niech... a nauczę cię, co to być zalonicą...

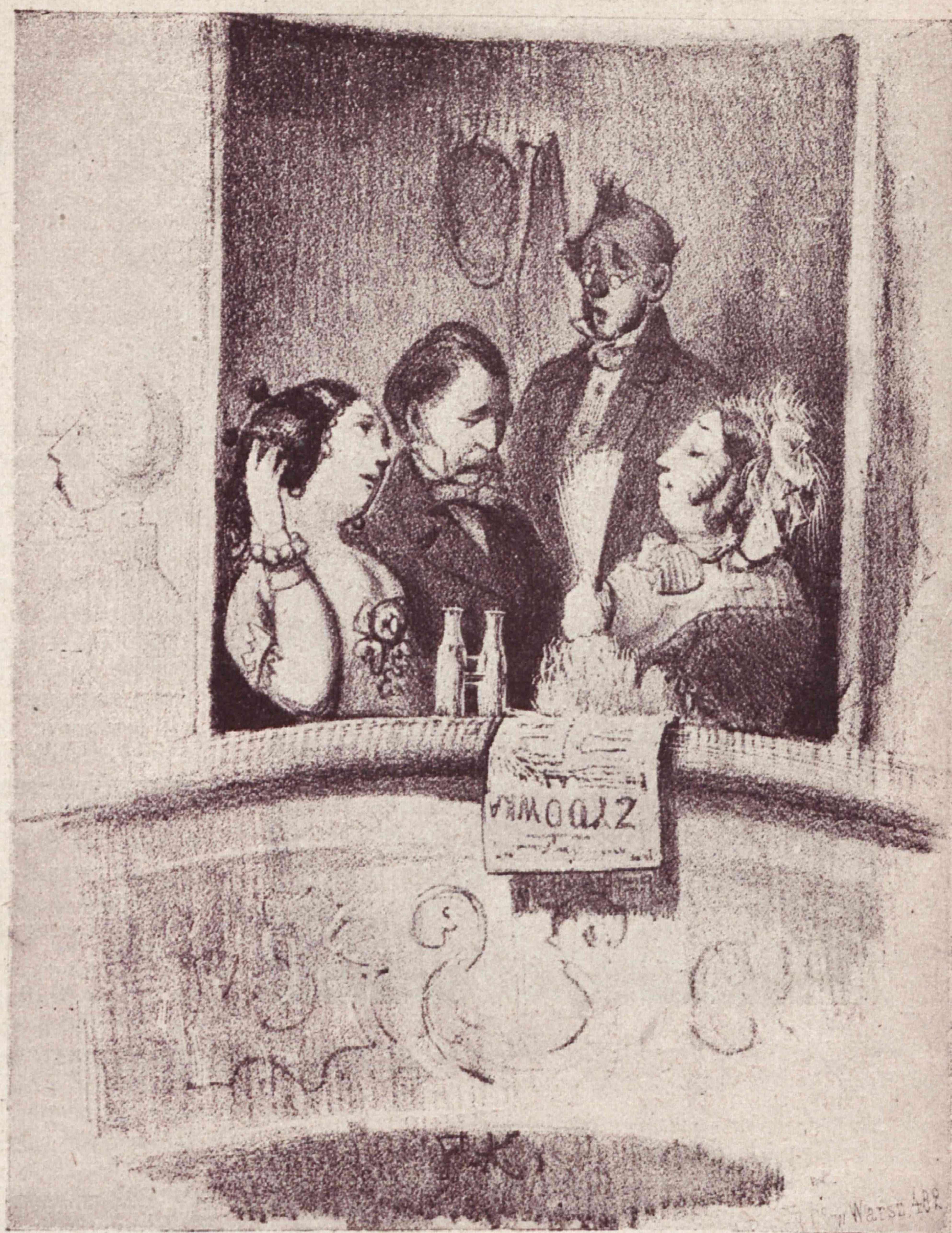
— Wylecisz, jak Boga kocham, wylecisz Marcelku. No, no, uspokój się, niema za czem...

— Kiedy ją kocham szalenie — mówi, wciąż patrząc w tamtą stronę — zginę, zmarnieję, zwiędnę jak ona pójdzie za niego.

— Ani nie zgnijesz, ani się nie zmarynujesz, ani nie uwędzisz, powtarza, przekręcając spokojnie te zaklęcia kolega — ja znam familją naczelnika i w tydzień ci rzecz ułatwię.

— A to jak ułatwisz?

— Że cię przyjmą i sami ośmielą.



...*Ciasno było w loży.* rys. Fr. Kostrzewski.

— Nie żartuj, bo jak honor kocham, wyskoczę z loży nie dziś to jutro, nie jutro to pojutrze i skręcę kark, żeby widziała, tak, tak, żeby widziała na własne zalotne oczy.

— No załóż się, Marcelku?

— Nie chcę, bo to się na nic nie zda, ten konopiasty hreczkosiej weźmie moje szczęście.

— O kosz szampana Marcelku, zgoda?

— Zgoda, ale jak nie, to skoczę.

— Skoczysz, dobrze, tylko po wypiciu szampana.

Zaczęto wychodzić z teatru, pan naczelnik jak zwykle szedł podać rękę Kamilce, bo z małżonką iść nie mógł, plącząc się w gęstych fałdach jej sukni, lecz tym razem inaczej się stało.

— Teofilu, prowadź mnie — woła na schodach pani naczelnikowa.

— Ależ Kamilcia...

— Proszę cię, prowadź — a kaptur wziąłeś dla mnie?

— Aniołku, zapomniałem...

— Wierzę, wierzę — mruczy już na dobre rozgniewana małżonka, co dobitnie wyraża, zdjąwszy watowaną czapkę z jego głowy, a kładąc ją na swoją.

— To mi mąż, to mi pan domu, naczelnik — kto zapomina, niech marznie.

Obywatel z Kamilką idąc naprzód znaleźli dorożkę, i choć rozamorowana panienka nie bardzo rada tej okazji, jednak zmuszona jest przyjąć tę grzeczność obywatelską, za co mama dziękuje mu bardzo, a tatko jeszcze bardziej, odzyskawszy watowaną czapkę.



Ś. p. Honorata Leszczyńska w roku 1913

Ś. P. HONORATA LESZCZYŃSKA

Bywają artystki, świetne, wyjątkowe, doskonałe — ale niezawsze obdarzona wielkim talentem aktorka posiada nieprzeparty urok, tajemnicę bezpośredniego kontaktu z widownią. Ta nieuchwytna cecha stanowi nietylko o powodzeniu — stanowi ona również o uczuciu publiczności dla ulubionej, bliskiej, drogiej artystki. Ów dar uroku sprawia, iż samem ukazaniem się na scenie wywołuje ona odruchowy, mimowolny uśmiech, że ręce bezwiednie składają się do oklasków, zanim wypowie pierwsze słowo swej roli.

Te żywiołowe odruchy sympatji, zespolenia się z ulubioną artystką, te niewytłomaczone nici, jakiemi jej osoba wiąże się z widownią, ten własny, osobisty, naturalny urok — nie jest to właściwość powszechna — jest to dar raczej wyjątkowy.

Tym wyjątkowym darem odznaczała się Honorata Leszczyńska.

Była artystką kochaną, budzącą zachwyt, porywającą, tryskającą humorem, życiem, temperamentem, wdziękiem i inteligencją. Jej mimika wyrazista, jej gestykulacja — a przedewszystkiem dykcja, świetna dykcja wielkich aktorów tamtego pokolenia — stanowiły zawsze wykończoną, artystyczną całość.

Warszawa ją ceniła, oklaskiwała, kochała. Można powiedzieć, że przez długi czas była ona uśmiechem Warszawy.

Honorata Leszczyńska należała do wielkiej dynastji aktorskiej. Ojciec — Wincenty Rapacki, mąż — Bolesław Leszczyński, bracia, syn Jerzy — cały ten patrycjuszowski ród aktorstwa polskiego — żył w niej pełnią talentu i świetności.

Honorata Leszczyńska większą część swego życia spędziła w warszawskim teatrze Letnim. Wtłoczono ją w repertuar banalny i płytki, nie wyzyskując należycie jej inteligencji aktorskiej, ani jej temperamentu artystycznego, który na każdej scenie zachodu, na każdej scenie paryskiej byłby z niej zrobił królową lekkiej komedji. Jej humor, wesołość, sceniczna swoboda, oraz zachwyt publiczności sprawiły, że dawne, przedwojenne dyrekcje wytknęły ścieżkę wielkiej artystce, skazując ją niemal wyłącznie na repertuar farsowy. Bo Honorata Leszczyńska —to było powodzenie. Honorata Leszczyńska — to była pełna kasa.

Po raz ostatni ukazała się nam przed paru laty w sztuce Małkowskiej „Dom Kobiet" i w tym swoim łabędzim śpiewie scenicznym udokumentowała jeszcze raz, jak wielką była artystką, jaki czar emanował z jej talentu. Dość przypomnieć jej wejście na scenę. Fertyczna, pełna życia starsza pani, lecząca się „dziurawcem", wtargnęła drobnym, żywym krokiem na scenę Teatru Polskiego... spojrzała figlarnie na widownię i... widownia zatrzęsła się od braw!

A przecież na tej widowni było sporo widzów, którzy tę *przedwczesną emerytkę* widzieli po raz pierwszy! Naturalność, świetne ujęcie i opracowanie tej roli podkreśliły wymownie, jaką krzywdę wyświadczyli scenie polskiej i artystce ci, którzy odsunęli ją za wcześnie w... zaciszną przystań emerytury.

Bo niezależnie od liczby lat, Honorata Leszczyńska nigdy nie była staruszką. Jej nieprawdopodobna żywotność była imponująca. Szkoda, że jej zapał, jej talent, jej umiejętność prowadzenia djalogu nie przyświecały dłużej młodym pokoleniom aktorek.

Choć odsunięta od teatru, Honorata Leszczyńska zgasła niemal na stanowisku. Bo czymże innym były jej „wieczory teatralne", jakie dla swych najbliższych sąsiadów i znajomych urządzała w swym ogródku, czy domku w Olszance? Zgromadzonej garstce słuchaczy odczytywała sztuki teatralne, grając w nich wszystkie role. Grała do końca życia, bo Honorata Leszczyńska — żyła teatrem. Teatr był jej żywiołem — koniecznością wypowiedzenia się — nic więc dziwnego, że przez długie lata była tego teatru urokiem i radością.

PRZED OBJEKTYWEM „ŚWIATA"



J. E. ks. biskup Gawlina przed ołtarzem, ufundowanym przez Panią Premierową Składkowską.

OSOBLIWOŚCI ANGIELSKIE



Uroczysta defilada w strojach historycznych w Londynie, z okazji objęcia władzy przez nowego Lorda Mayora (burmistrza Londynu).



Patrjotyzm anglików znajduje swój wyraz nawet w... modzie na obuwie! Z racji zbliżającej się koronacji Jerzego VI lansowane są obecnie trzewiki damskie, ozdobione motywem angielskiej flagi narodowej.

Na uroczystości koronacyjne Jerzego VI dwór angielski ustalił model płaszcza, który nosić będzie każda dama, biorąca udział w koronacji.



ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

— Jakto, i ty tak pozostawiasz Konspirina w niewiadomości, co się stało z Niną?

— A cóż on mnie może obchodzić?

— Człowieku, zlituj się!... Zrozum, że Konspirin za pół godziny postawi na nogi całą policję Danji, jeżeli już tego nie uczynił.

— A cóż ja na to poradzę — flegmatyzował Willy.

— Musi Nina niezwłocznie uspokoić Konspirina i zapewnić go, że wszelkie jego kroki będą naprożno. Rządowi swemu niech doniesie prawdę, a tu niech powie, że zwolniono ją z obywatelstwa sowieckiego, gdyż okazało się, iż jest holenderką.

— Ale jakże to zrobić? Ja nie mam jeszcze w ręku dokumentów.

— Tu nie chodzi o dokumenty, tylko o uprzedzenie wypadków. Musimy działać niezwłocznie.

Pierwszy telefon Zima — do *Drachmans Kro.*

— Czy pan poseł Konspirin jest jeszcze na sali?

— Jest.

— Sam?

— Sam.

Doskonale...

Drugi telefon do Niny.

— Nie spała pani jeszcze?

— Nie.

— Ani chwili do stracenia. Zaraz przyjeżdżamy, Zim i Willy.

Nina drżała jak w febrze. Oczekiwała katastrofy. Przed chwilą skończyła pisać list do Konspirina, który miała zamiar posłać jutro pocztą!

„Nie jesteście już dla mnie żadnym towarzyszem, tylko „padlec", który fałszował listy mojej matki, ukrywając przedemną jej śmierć. Pluję wam za to w „rożę". Nie ważcie się mnie prześladować, bo marnie zginiecie. Mam obrońców silniejszych od was".

Gdy Zim to przeczytał, uśmiał się, drąc list w drobne kawałeczki, które rzucał do kosza.

Nina była obrażona:

— Jak pan śmie?

Willy podtrzymał ją.

— Rzeczywiście, Casimir, Nina ma rację. Dlaczego drzesz jej list?

— Bo jest okropny, podyktowany emocją i niecelowy. — I powtórzył Willy'emu słowa listu, tłumacząc je z rosyjskiego.

Teraz znów Willy wziął stronę Zima.

— On ma rację. Nino, twój list zaszkodziłby sprawie, która ma w tej chwili stadjum bardzo niebezpieczne. Siądź, dziecko drogie, i pisz co ci Casimir podyktuje. On napewno to dobrze zrobi. Jabym nie potrafił, przyznaję się.

Nina skapitulowała.

Przez cały czas dyktowania listu nie odezwała się ani słowem i nie podniosła nawet głowy z nad papieru. Przeżywała każdy wyraz. Była zdumiona.

Zim dyktował po francusku, by Willy rozumiał, Nina pisała po rosyjsku:

„Awramie Wolfowiczu! Zdobyłam wypadkiem wiadomość, że moja matka dawno nie żyje. Miałam do was żal, żeście mi dostarczali apokryfy, ale rozumiejąc pewne konieczności państwowe darowałam wam tę winę. Również wypadkowo uzyskałam pewność, że pochodzenie moje jest inne, niż to, które było formalnie mnie i wam znane. Kamerjunkier graf *A. W. Stienbok - Fiermor* nie był moim ojcem, ja mam tylko połowę krwi rosyjskiej, po matce. Obecnie, mój rzeczywisty ojciec, holender, adoptował mnie, mam już w tej chwili obcy paszport, a ściśle mówiąc — właściwy paszport, z kraju mego ojca. Mieszkam w poselstwie obcego mocarstwa. Proszę to pamiętać. Nie będę się kryła. Dziś jeszcze rząd Danji będzie wiedział, że wyszłam dobrowolnie z poselstwa sowieckiego, bo nie jestem rosjanką. Proszę przekonać rząd sowiecki, by nie wyciągał żadnych konsekwencji z tego wypadku. Wzamian, ale tylko wzamian składam wam, były towrzyszu, przysięgę na mój honor, że nigdy z ust moich nie wyjdzie żadna tajemnica służbowa. Nie przestałam kochać mojej rosyjskiej ojczyzny i w niczem jej oczywiście nie zaszkodzę. Radzę nie zaprzeczać przed rządem Danji oraz Niderlandów, że zmie-

niłam obywatelstwo z waszą wiedzą. Jestem gotowa zawsze przywitać się z wami, gdy się wypadkiem spotkamy w miejscu publicznem.

Życzę wam zdrowia i rozsądnego traktowania całej tej dziwnej przygody.

Anna Van Cornelius
dawniej Nina Aleksandrowna
Stienbok-Fiermor
przyrodnia siostra *Chargé d'Affaires*
Królestwa Niderlandów".

Nina pisała te słowa w jakieś dziwnej pokorze wobec Zima. Tłumaczyła jego słowa francuskie na rosyjskie prawie automatycznie, mając wprawę w tem z lat służby zagranicznej, ale cała pogrążona była w zupełnie nowej sferze myślenia.

Błyskawice pytań i hipotez migały jej po głowie: czem to się dzieje, że jej nie przyszło na myśl podobny list napisać, choć w tej chwili zdaje sobie doskonale sprawę, że właśnie tylko takie pismo unieruchomi Konspirina, że ono musi mu zaimponować, że ono, i takie właśnie, stawia ją wysoko wobec niego, że wytrąca mu z rąk wszelką broń, że samo jest potężną bronią

Wstydziła się teraz swojego listu, który Zim tak słusznie potępił i zniszczył.

Zaczynała rozumieć, że jest jednak jakaś kolosalna różnica pomiędzy Zimem a nią. Przecież ona też jest dość wykształcona, także umie być bardzo logiczną, przewidującą, bardzo sprytną, a oto byłaby zrobiła nieprawdopodobne głupstwo, wysyłając taki list, jaki ułożyła.

Nabrała do Zima kultu a dla obydwu swych przyjaciół wdzięczności za ich wielką dobroć i troskę o nią.

Willy skorzystał ze świetnej instytucji jaką jest w Kopenhadze ekspedycja ekspresów ulicznych na rowerach.

Awram Wolffowicz siedział zasępiony przy butelce szampana, czekał ciągle jeszcze na Ninę, bo sprawdził przez telefon, że wyjechała. Może jakiś wypadek w drodze.

Gdy kelner podał list przywieziony przez posłańca, poseł nie wierzył oczom, że list pochodzi od Niny. W miarę jak czytał, coraz mniej rozumiał. Z listu biła prawda, siła, odwaga, wzniosłość.

Przygnębiało go to. Siedział tak jeszcze długo w lokalu kabaretowym, pijąc, wpatrzony w list Niny, czytając i czytając go bez końca.

Wracał do domu zupełnie złamany i bezradny. Szedł piechotą, wolno, a tak był pogrążony w rozmyślaniach o tem co się stało, że kroczył jak lunatyk, zwracając uwagę rzedkich już zresztą przechodniów.

— Tyle już było wypadków dezercji, ale takiego jeszcze nie... Gdyby zwyczajnie zdradziła, okradła go, uciekła, napisała list impertynencki, ukryła się, o — wiedziałby co z nią zrobić... Raz, dwa.. To naturalne. Ale taki list! Niesłychane! Tego tylko brakuje, by ją spotkał u boku Corneliusa... Może ją będzie musiał jeszcze w rączkę pocałować!... Oczywiście — list nie ona pisała... To nie jej słowa. Cornelius jej dyktował... Dymitr źle ją pilnował... „Czort pabieri"... Wydało się... Wystrychnęli na dudka. Napewno mu to zaszkodzi w karjerze. Co za skandal!... O, przepraszam, tak się nie może skończyć... Trzeba oficjalnie zażądać od rządu Niderlandów dowodów prawnych... Na jakiej podstawie obywatelce sowieckiej wydano poszport niderlandzki?... A może lepiej, jak ona pisze, dać pokój, umorzyć sprawę, „kancy w wodu"? Tfu.... „Wot tak sztuka"! Niema rady. Jedyne wyjście — zrobić jak ona pisze... „Prikaz" od Niny... Czego się dożyło!...

* * *

W Warszawie uznano, że Ray — przeżył się i nie odpowiada współczesności. Przeniesiono go w stan spoczynku i przysłano Zimowi listy odwołujące Raya.

Zim czekał na nowego posła, ale otrzymał wiadomość od jednego z kolegów z Centrali, że tymczasem nikt nie będzie mianowany i że on, Zim, pozostanie jako *chargé d'affaires* na czas konferencji.

(D. c. n.)

H. KOROLEC - BUJAKOWSKA.

W BURMIE

SCOTT – MARKET W NIEDZIELĘ RANO

W dalszej wędrówce po Indochinach, korespondenci nasi, pp. Halina i Stanisław Bujakowscy dotarli do Burmy, kolonji Brytyjsko - Indyjskiej, skąd nadesłali nowy cykl interesujących korespondencji.

W niedzielę wszyscy idą na bazar. To należy do dobrego tonu i jest zresztą tradycyjnym, utartym zwyczajem.

W niedzielne przedpołudnie na Scott-Market spotykają się członkowie wszystkich szkockich klanów, osiadłych na burmeńskiej ziemi, od czasu, gdy dzielny Sir Archibald Campbel w imieniu wojowniczej i dumnej potęgi West India Company prowadził zwycięską wojnę i pokój zawarł z królem Awa, wybrzeże morskie i Arakany biorąc pod zastaw wysokiego haraczu.

Sto lat temu zalęgły się zacne szkockie rody w burmeńskich miastach i dzikich wzgórzach, tak podobnych do ich szkockiej ojczyzny. Z małem odchyleniem zastosowania się do klimatu, żyją tutaj jak w domu, zachowując wszystkie tradycje i zwyczaje.

Więc po nabożeństwie niedzielnem wszyscy spotykają się na bazarze. Na codzień sprawunki załatwia kucharz i służący. Na którym bazarze — trudno wiedzieć. Jest ich tyle, co ulic nieledwie. Każdy inny. Wszystkie jednakowo brudne i barwne.

Weszliśmy na najczystszy, więc powłóczymy się trochę wraz z chudą, jak tyka, szkocką damą.

To, co kupuje, jest bardzo europejskie. Panie, o sztucznej białej cerze, bo szkotki są skłonne do piegów z natury, a mordercze słońce zamienia ich cerę w indycze jajo.

Te co nie mają piegów, a broń Boże urodziły się w Indjach, lub Burmie, gotowe są nosić maskę, byle najmniejszy promień słońca nie zbrązowił ich przebiałej skóry. Paszport na europejkę, zaprzeczenie przekleństwa urodzenia.



Małe birmanki patrzą skośnemi oczami i podrzucają coraz to nowe pokusy.

Born in India. Coś jak mieszaniec, choćby z najczystszej krwi rodziców. Przecież żaden z młodych chłopców na służbie państwowej nie może się żenić z taką panną pod grozą utraty stanowiska. Biedne trędowate.

Jedna z nich, — mama szkotka, tata irlandczyk — idzie obok mnie. Wyglądam przy jej śnieżnej skórze wprost nieprzyzwoicie. Ale mnie ten paszport nie jest potrzebny. Urodziłam się w Europie, mogę się spalać na murzynkę, a nawet najbardziej angielskie angielki będą mi zazdrościć ładnej opalenizny.

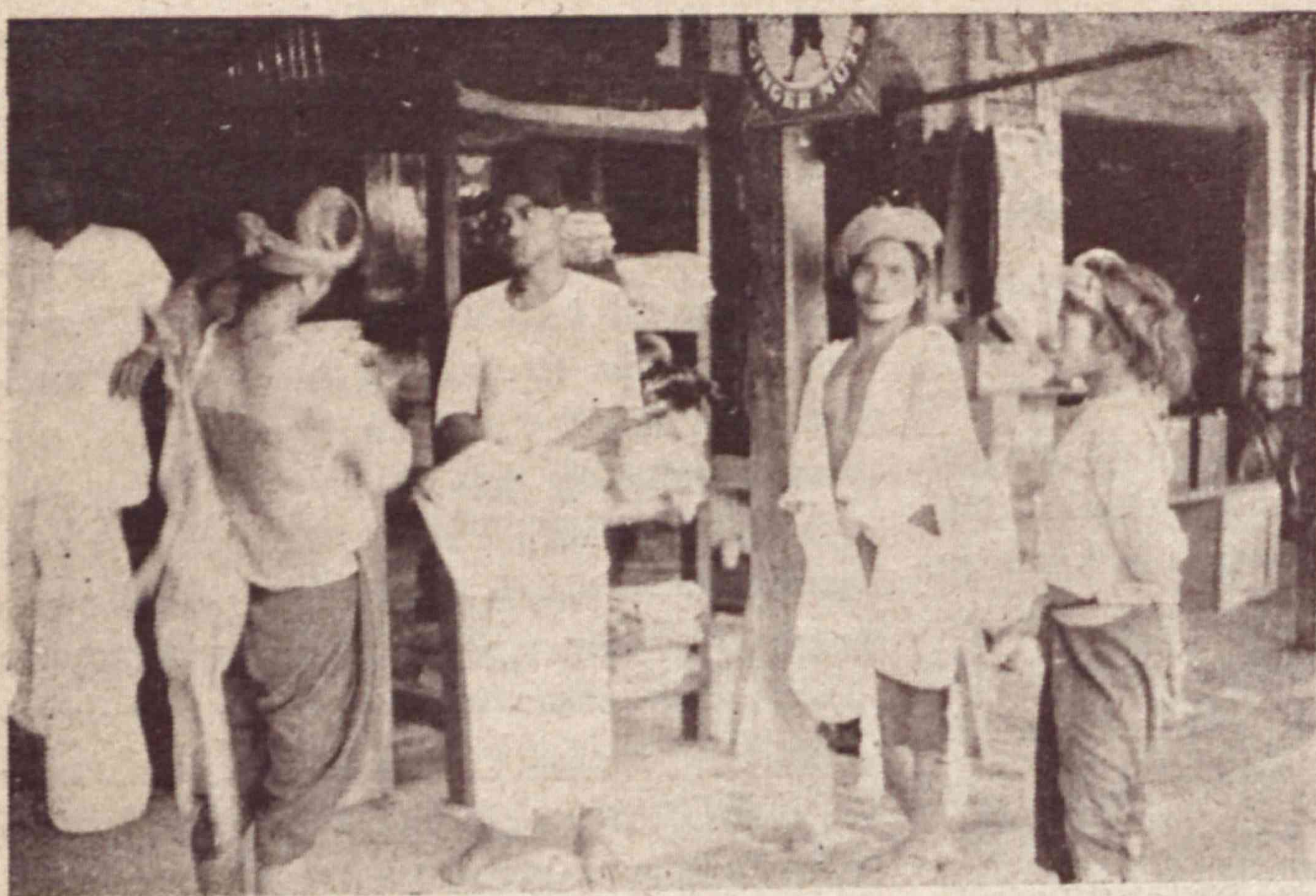


Czerwone fezy mahometan i birmańskie lundżi.

Panowie w ciemnych ubraniach. Krawat, sztywny kołnierzyk, kapelusz. W czasie monsoonu topi nie obowiązuje. Niedzielnie prowincjonalna sztywność i nuda. Chociaż Rangoon jest stolicą Burmy, Burma jest bardziej dalekim i zapadłym kątem, prowincją, jak Szkocja w Anglji. Zresztą szkockie tradycje są nietykalne.

To też kupujący tworzą nastrój sztywny, endimanché, szary i niesharmonizowany z barwnem tłem bazaru.

Na Scott-Market jest wszystko. Jak zwykle, na bazarze. Ładne sklepy spożywcze z puszkami konserw, z owocami, gdzie królują w tej chwili olbrzymie manga z Chitagong i szurpate ananasy wśród mrowia mangustines i najrozmaitszych dyń, melonów Jack-fruitów jak jeże, jabłek kaszmirskich, bananów czerwonych, żółtych i zielonych, mandarynek, winogron i całego szeregu miejscowych specialités o trudnych nazwach i podejrzanym smaku. Spożywczy rejon jest zawsze najwspanialszy dekoracyjnie. Puszki takie kolorowe i bogactwo owoców, przy nich kwiaty.



Birma dla Burmy jest na brudnych bazarach.

Tutaj jeszcze dodają barw restauracyjne stragany. Wolę je coprawda na brudnych bazarach. Jest ich więcej, bogatsze w repertuar potraw, typy restauratorek i ich klientów.

W tych restauracjach potrawy są burmeńskie i chińskie Kipi z saganów i rondli, bucha para i pełna gama zapachów. Za kuchnią króluje dama. W opiętej białej bluzeczce w wąskiej spódniczce lundżi przeważnie w śliczne kwiatki. Na głowie tej damy, z czarnych włosów, upiętych w sztywny kok, wykwita ogródek świeżych kwiatów i jeden potężny grzebień.

Przyrządza, kucharzy, swym stołownikom podaje na liściu bananowym potrawy z każdego rondla po troszeczku. Trochę przypieprzone, strząchnięte, przymieszane, podobno smakuje wyśmienicie. Znam jedną szkotkę, która co niedziela zaopatruje się w pakuneczek w liściu bananowym i na tiffin je burmeńskie przysmaki, naturalnie, jak oni, ręką — by widelcem nie popsuć smaku.

W Burmie pracuje kobieta. Pan stworzenia pali cygaro, lub fajkę, spluwa, ziewa, nie robi nic. Lubi spacerować, jeździć rikszą, ten zamożniejszy i ładnie się ubierać.

Opowiadano mi w Indjach, że nawet kulisami są kobiety. W tem trochę jest przesady. W każdym razie w Rangoonie i burmeńczycy wzięli się do pracy, stoczywszy wprzód krwawy bój z zalewającym ich rynek pracy tłumem hindusów z Madrasu, Bengalu i całych Indyj. Po krwawej bitwie w porcie zwycięski burmeńczyk zakasał rękawy. Nawet jest czasem culis, lub przewoźnikiem w porcie, ale to niechętnie. Tam dzielą miejsce hindusi z Shanami.

Na bazarze same panie. Zręczne, zwinne, kręcą się w swoich zagródkach pełnych barwnych tkanin, lub prześlicznych srebrnych wyrobów w burmeńskim stylu.

Szkockie panie plotkują, przerzucając i przewracając wszystko do góry nogami, by wybrać jakiś drobiazg. Panie wszędzie są jednakie. A małe burmenki patrzą skośnemi oczami i prędko podrzucają coraz to nowe pokusy.

Za czysto, za nudno i jakoś po burmeńsku dla Europy. Oni tego nie lubią. Birma dla Burmy jest na brudnych bazarach. Ogromne hale podzielone chodnikami na zasieki, pełno śmiecia. Cały towar leży na ziemi. Owoce, kwiaty, jarzyny. Kolorowo i zielono. Przy wiązce każdego zielska siedzi jego właścicielka z nieodzownym ogródkiem na koku i pali potężne cygaro. W okrągłej, skośnookiej buzi o krótkim nosku zabawnie wygląda to ogromne cygaro o calowej conajmniej średnicy.

Tutaj restauracje są potężne. Po kilka w każdym roku. Mają ogromne powodzenie. Jak cały bazar. Kupują i sprzedają ci sami. Rozumieją się świetnie. Spodni nie znajdziesz ani na wystawie, ani na osobie. Chyba chińskie pantalony. Ale chińczycy siedzą w chińskiej dzielnicy i nie chodzą na burmeńskie bazary. Poco? mają swoje. I swoje wędrowne restauracje krążące po całym mieście.

Chodzi taki culis, czy chodia, jak u nas nazywają wędrownych chińczyków, przez plecy ma nosidła bambusowe, a na nich dwa bary z szufladami, menażkami. Obiad co najmniej dla dziesięciu osób w każdem. Wygodnie. Chcesz zjeść, wystarczy skinąć ręką. Resturacja przycupnie na skraju jezdni. Zgłodniały pasażer i restaurator przycupną na piętach naprzeciw siebie. Jeden głód zaspokoi, drugi weźmie parę pajsów i restauracja wędruje dalej.

Policjant dumnie stojąc na skrzyżowaniu ulic, reguluje ruch samochodów i pieszych. Tego jest więcej. Po ulicach biegają riksze, platformy ciężarowe zaprzężone w kulisów, wędrowny sprzedawca panu, naturalnie hindus i chińska restauracja i wszelkiego rodzaju handel.

Na ulicach warto popatrzeć na twarze, stroje. Co za mieszanina. Przeważa skośnooki typ burmeńczyka w długiej spódnicy, w krótkim żakieciku.

Ale lundżi noszą tu hindusi. Jest ich bardzo dużo. Czerwone fezy mahometan, długie włosy shików, czarne twarze madrasi, słodkie oczy bengoli, spasłe brzuchy z Benares, sprytne miny z Bombay — aż za dużo. Jeszcze za blisko Indji. Zacierają charakter lokalny. Los wszystkich portowych miast.

Na bazarach bardziej wyraźnie po burmeńsku.



W tej restauracji potrawy są birmańskie.

DZIESIĘĆ MINUT POLEMIKI

Na feljetonik mój pod tytułem „Dziesięć lat w dziesięć minut", poruszający sprawę prelekcji radjowej p. Eugenjusza Świerczewskiego, otrzymała redakcja „Świata" obszerną replikę. Zgodnie z życzeniem autora repliki zamieścimy z niej te ustępy, które są dla poruszonej sprawy istotne.

Przypomnijmy, jaki był nasz główny zarzut. Dotyczył on faktu dość ostrej krytyki pod adresem polskich autorów dramatycznych, ujętej w dwuminutowej końcówce referatu radjowego p. Świerczewskiego. Podkreśliliśmy niewłaściwość takiego osądu przez radjo w ustach *urzędnika T. K. K. T.* — przyczym obarczyliśmy p. Świerczewskiego tytułem „sekretarza generalnego".

W feljetonie „Świata" było napisane dosłownie: *„Nie o krytykę nam jednak chodzi. Wiemy, że i wśród polskich autorów są lepsi i gorsi, dobrzy i słabi. Można rzeczowo krytykować i nawet błędy wytykać. Ale kto, ale jak?"*

A dalej motywując, iż nie jest to czynnością właściwą dla urzędnika T. K. K. T., napisaliśmy: *„To nie jego rola".*

To był nasz główny, zasadniczy zarzut.

P. Eugenjusz Świerczewski w replice swej stwierdza, że obecnie nie jest już generalnym sekretarzem T.K.K.T. — był nim do końca roku 1933-go. Teraz, po reorganizacji, urząd ten został skasowany.

„Obecnie — pisze nam p. Świerczewski — zajmuję w teatrach T. K. K. T. od półtora roku stanowisko kierownika Wydziału Prasowego".

Chętnie prostujemy więc tę nieścisłość *„tytularną"*, lecz nie zmienia ona wcale istoty rzeczy. Odczyt przez radjo wygłaszał zatem nie sekretarz generalny, ale kierownik Wydziału Prasowego, czyli szef propagandy T. K. K. T.

Nie jest to bynajmniej okoliczność łagodząca, jak sądzi p. Świerczewski. Bo sekretarzem generalnym może być w naszych warunkach nawet urzędnik administracyjny. Osoba z za biurka. A szef propagandy każdej instytucji ma za zadanie interesów czy polityki tej instytucji *bronić.*

Nie było moim zamiarem negowanie kompetencji p. Świerczewskiego, jako krytyka. Ale muszę negować niezależność jego sądów — gdyż jest on urzędnikiem pewnej instytucji. Ten sam sąd w ustach pana Świerczewskiego, (gdyby nie był urzędnikiem T.K.K.T.) — byłby tylko osobistą opinją — (słuszną czy niesłuszną) — *niezależnego* krytyka. W ustach pana Świerczewskiego, *urzędnika T. K. K. T.*, nabiera posmaku argumentu, jak gdyby wyjaśniającego szerokim masom, dlaczego teatry subwencjonowane grają tak mało sztuk autorów polskich.

Kierownik wydziału prasowego T. K. K. T. przytacza w swym liście do redakcji szereg swych uprawnień do pisania krytyk, do przemawiania o teatrze. Ależ tak. Ani słowem nie kwestjonowałem jego praw krytyka. Ma nawet jedno pismo teatralne *swoje*. Ma drugie *oficjalne* — jest redaktorem naczelnym — niech występuje jako *krytyk*. Nie wyważajmy otwartych drzwi. Nie zamykaliśmy ust p. Świerczewskiemu, nie wyrywamy mu pióra — niech mówi, niech pisze. Zaznaczyłem tylko, że według mnie skoro się jest *urzędnikiem T. K. K. T.* i mówi się przez radjo, do szerokich mas, to wypadałoby rolę *krytyka* odsunąć na plan dziesiąty, a być raczej *informatorem* bezstronnym, nie stawiającym ogółowi polskich autorów dramatycznych... zarzutów, iż „brak im kontaktu ze społeczeństwem".

W konkluzjach swej repliki p. Świerczewski formułuje trzy punkty. Co do dwuch godzimy się najzupełniej: 1) nie jest on sekretarzem generalnym, lecz kierownikiem Wydziału Prasowego T. K. K. T., 2) dwudziestoletnia praca w dziedzinie teatru i krytyki uprawnia go do wypowiadania się w tych sprawach.

W trzecim punkcie p. Świerczewski twierdzi, że nie dokonał „biczowania polskiej twórczości dramatycznej".

Przytaczamy więc ściśle przysłany przez p. Świerczewskiego odnośny fragment tekstu z jego odczytu radjowego:

„Czy twórczość ta (polskich autorów dramatycznych, przyp. nasz) zawiera szereg dzieł, któreby targnęły społeczeństwem? Niestety, — naogół — poza pewnemi nielicznemi wyjątkami — należy odpowiedzieć negatywnie.

Widz polski nie znajduje dotąd na scenach polskich w utworach naszych pisarzy takich sztuk, któreby umiały poruszyć najistotniejsze problemy, bóle i troski życia zbiorowego, któreby to życie bądź odzwierciadlały z całą prawdą, bądź je kształtowały i wyprzedzały ideowo.

Zjawisko to jest dość powszechne i poza Polską, aczkolwiek u nas szczególnie jaskrawo uwydatnia się brak kontaktu między pisarzami scenicznymi a żywotnemi zainteresowaniami społeczeństwa. Społeczeństwo sobie i pisarze sobie. Jest jakieś ubóstwo tematów w naszych sztukach, jakiś utarty szablon w tworzeniu wiecznie tych samych trójkątów małżeńskich, czy mieszczańskich malowideł obyczajowo-satyrycznych. Tchnienia wielkich idei, odrodzenia wielkich zagadnień w teatrze, koncepcyj ideowych na miarę dawnego teatru Wyspiańskiego — tego wszystkiego w utworach naszych pisarzy, niestety, niema. Zresztą o repertuar żywotny, odpowiadający dzisiejszym potrzebom i upodobaniom, wszędzie naogół bardzo trudno — twórczość współczesna dramato-pisarska nie znalazła jeszcze drogi do dzisiejszego widza. Jesteśmy świadkami w tym kierunku błąkania się po manowcach, prób nieśmiałych i nieudolnych. Współczesny teatr polski, wyposażony w świetnych aktorów, reżyserów i dekoratorów, czeka bezskutecznie na autorów, ktorzyby byli „z tego pokolenia", którzyby znaleźć umieli w duszy swej oddźwięk na tęsknoty i dążenia społeczeństwa, którzyby tem społeczeństwem umieli wstrząsnąć, wzruszyć je i pchnąć ku nowym drogom przyszłości".

W tej końcówce swego odczytu urzędnik T. K. K. T. stwierdza więc, że u nas jest gorzej, niż gdzieindziej *(u nas szczególnie jaskrawo uwydatnia się brak kontaktu między pisarzami scenicznymi, a żywiotnemi zainteresowaniami społeczeństwa)*, że teatry są bez winy. Bo autorzy popełniają „próby nieudolne" — a „współczesny teatr polski, wyposażony w świetnych aktorów, reżyserów i dekoratorów, czeka *bezskutecznie* (podkr. nasze) *na autorów*, którzyby byli „z tego pokolenia" i t. p.

Szef propagandy teatrów, potępiając autorów dramatycznych za brak kontaktu ze społeczeństwem, gdyby był sprawiedliwy, powinienby napomknąć również i... *o kontakcie dyrekcji teatrów z autorami dramatycznymi!* Mówiąc, że u nas gorzej, niż gdzieindziej, powinienby powiedzieć, ile padło bezapelacyjnie sztuk autorów polskich, a ile zagranicznych. Powinienby powiedzieć, jakiemi metodami dyrekcja T.K. K.T. *zachęca* i *dopomaga* autorom polskim do tworzenia sztuk, któreby społeczeństwem umiały wstrząsnąć". Powinienby choć słowem wspomnieć o wzajemnych współtwórczych stosunkach kierownictwa T.K.K.T. z autorami!

Wiemy, niestety, iż autorzy polscy mają wiele gorzkich doświadczeń na ten temat.

Więc nie można powiedzieć: aktor, reżyser, dekorator — a więc teatr — jest świetny, a tylko autor nie ma ideologji i jest zły. Bo to jest niesprawiedliwe — bo to jest właściwie reklama teatrów, a nagana autorów.

Siedemset tysięcy słuchaczy radjowych nie powinno dowiadywać się od *szefa propagandy teatrów*, że autorzy polscy nie mają z nimi kontaktu. Jestem też skromnym obywatelem — synonimem zera w wielu obecnie przeżywanych sprawach. Wystąpiłem z uwagami krytycznemi nie pod adresem krytyka i teatrologa, ale pod adresem urzędnika teatrów.

Obywatel Zero.

W. ŁUKASIK.

BAJECZKA DLA GRZECZNYCH DZIECI

Był sobie raz wieśniak i była sobie raz jego żona — wieśniaczka. Byli tak sobie oboje. Gospodarowali skromnie na półtrzecia morga podłego gruntu, czyli że jadali tylko ziemniaki bez soli i kartofle — również niesolone.

Pewnego razu, a to akurat w sam dzień wigilijny, postanowił wieśniak zanieść od siebie do Stajenki Betlejemskiej dary w postaci miary zboża, skrzętnie przechowywanego w pustej stodole na czarną godzinę.

— Słuchaj, Magda, powiedział do swej żony wieśniaczki, weź lampę to mi poświecisz. Trzeba nabrać miarę zboża dla Dzieciątka.

— A pół miary nie wystarczy? spytała żona zapobiegliwie, zapalając kaganek.

— Nie będziemy robili oszczędności na ofiarach, powiedział mąż, poczem ująwszy łopatę zaczął sypać ziarno do miary.

Niewiele było tego zboża, ot ze trzy, cztery szufle, jak to zwykle bywa u zamożniejszych gospodarzy.

— Wicek, bój się Boga, zawołała żona, kiedy prawie cały dobytek stopniał pod ścianą stodoły — sypiesz i sypiesz bez opamiętania, przecież nic nie zostanie dla nas!

— Nie martw się kobito, powiedział wieśniak i spojrzał do naczynia, w które wsypywał zboże. Miara była pusta. Tylko na dnie leżało jedno jedyne ziarenko.

Gospodarze stali jak oniemieli.

— Ha, cóż, rzekł mąż, biedoliłaś, żałowałaś i teraz masz rezultat. Z tym jednym ziarneczkiem przyjdzie nam pójść pokłonić się Dzieciątku.

I poszli. Ze wstydem i ciężką zgryzotą w sercu złożył wieśniak swój dar w Stajence. Potem wrócili do domu, i zlegli na przypiecku. Zmartwiony gospodarz nie mógł jednak usnąć. Coś go gniotło i kręciło we wnętrzu. Wstał więc i poszedł do stodoły by raz jeszcze spojrzeć na miejsce gdzie leżało zboże.

Mdły pomyk lampki rozświetlił wnętrze i zgasł natychmiast, bo gospodarz wypuścił kaganek z ręki.

— Rety ludzie, zawołał, Magda, a chodźże, co ja widzę, rety!!!

Pod ścianą równiuśko nasypane leżało ze trzy korce szczerozłotego ziarna.

— Złoto! czyste złoto, darła się Magda. Tyle bogactwa, Jezusinku!...

— — — — — — — — — — — —

Na drugi dzień, coś koło południa, w zagrodzie wieśniaka imieniem Wincenty i żony jego Magdaleny z domu Walendziak, zjawił się, mimo że były jeszcze święta, urzędnik z Izby Skarbowej.

— Pan podobno otrzymał w spadku większą sumę pieniędzy. Zgodnie z paragrafem 365 ustawy o postępowaniu spadkowym, wzywam pana do ujawnienia takowych, pod groźbą 500 złotych kary, lub trzech miesięcy więzienia, albo obu tych kar łącznie.

— Ależ, panocku, tłumaczył się chłop, to nie spadek, jak my przyszli z pasterki... I pokazał złoto.

— Hm, powiedział urzędnik, zważywszy dokładnie ziarno, dwa i pół kilograma kruszcu, wartości czternastu tysięcy złotych. Siedemdziesiąt procent... od czternastu... Ale, ale, przerwał obliczenia, powiada pan, że to nie spadek, że to złoto znalazło się tu cudownym sposobem?

— Tak, panocku, znalazłem na własnym gruncie, rzekł chłop.

— Hm, mruknął urzędnik, paragrafu 365 nie można tu zastosować, trzebaby coś innego... Aha, znalazł pan na gruncie, tak? Więc w porządku. Zapłacicie podatek gruntowy. I dochodowy. I od nagłego zbogacenia się. I od luksusu w jakim zapewne będzie pan odtąd żył. Wszystko razem, zaczął liczyć, trzynaście tysięcy dziewięćset pięćdziesiąt złotych. Oto nakaz zapłaty. W przeciągu trzech tygodni, licząc od dnia dzisiejszego...

— — — — — — — — — — — —

W dwa dni po tym, w zagrodzie wyżej wspomnianych: Wincentego i Magdaleny, zjawił się przedstawiciel urzędu celnego.

— Złoto, powiedział, z zagranicy, czy krajowe?

— Z nieba, panocku, rzekł chłop. Jak my wrócili z pasterki...

— Więc zagraniczne. Dobrze. Co macie zamiar z nim zrobić?

— A dyć sprzedom, panocku rzekł chłop, podatki muszę zapłacić.

— Wobec tego, według paragrafu 146 ustawy o reglamentacji dewizowej i handlu walutą, zostaje panu skonfiskowany cały zapas posiadanego złota, jednocześnie zostaje pan skazany za nielegalne tranzakcje na grzywnę w wysokości złotych...

— — — — — — — — — — — —

I zlicytowali chłopka. Albowiem, kochane dzieci, w dzisiejszych czasach nie wszystkie bajeczki kończą się happy end'em.

CZY PANI WIE, ŻE...

...jedna z pań prosi o przepis na wykwintny a łatwy deser „sezonowy“, mianowicie z zastosowaniem pomarańcz. Podam wyśmienitą kombinację, stworzoną w chwili natchnienia przez jednego z najznakomitszych smakoszów w Polsce, Edwarda Szeligę.

Wziąć 8 wielkich, równych pomarańcz, 400 gram. lodów śmietankowych lub pomarańczowych, 200 gram. ananasa lub konserwy z truskawek, 200 gram. bananów, 60 gram. likieru curaçao, cukier.

Wierzchy pomarańcz odkrajać: ostrym nożem zagiętym wyciąć wnętrze, pokrajać je w kostkę, napełnić pomarańcze kostką z pomarańcz, ananasa, bananów, wymieszaną z lodami i likierem.

Nakryć płomieniami z nitek karmelu.

■

...grypa szaleje... nietylko w Naprawie. Ale w całej Polsce. Z grypą żartować nie należy, chociażby miała przebieg łagodny. Tylko lekarz po zbadaniu chorego orzec może, jak *indywidualnie* leczyć tę niby to *standaryzowaną* chorobę. Więc nie mam wcale zamiaru wskazywać tu żadnych środków leczniczych przeciwko grypie.

Tylko chcę skromnie zaznaczyć, że jeżeli chorego męczy kaszel, to można mu skutecznie pomóc niewinnymi środkami, których używały nasze prababki z dobrym skutkiem. Ja osobiście wyleczyłam kogoś z zastarzałego kaszlu *odwarem z żywokostu.*

Kupić w aptece suszonego korzenia żywokostu lekarskiego. Na dwie łyżki stołowe korzenia nalać dwie szklanki wrzącej wody, przykryć i odstawić na pół dnia. Co godzinę zamieszać. Po sześciu godzinach przecedzić przez czyste płótno. Pić ten płyn kilka razy dziennie, zależnie od intensywności kaszlu, po pół szklanki na raz, można i mniej. Można osłodzić miodem, jeżeli pacjent grymasi. Ale przecież lekarstwo bierze się nie dla smaku, prawda?

■

...patrząc w kinie na ekran, każda z pań myśli: jak one to robią, żeby mieć tak doskonałą linję? No przedewszystkiem, żeby tak absolutnie nie posiadać — brzucha? (Bardzo mi przykro, ale to się właśnie tak nazywa). Nadmiar tej części ciała u Polek jest rażący. Nie mają go w takim stopniu nie tylko Amerykanki (najracjonalniej wychowywane fizycznie) — ale także ani Angielki, ani Francuzki. Równie ciężkie figury posiadają tylko Włoszki (w starszym wieku) opasione nadmiernie makaronem — oraz Niemki (również w starszym wieku) — opite nadmiernie piwem.

Jakie są przestępstwa Polek w tej materji?

Zbyt *obfite* jedzenie. Jedzenie *za tłuste!* Nadmiar dań *mącznych,* kluchów, kasz, ciast, kartofli — a niedostateczna ilość jarzyn i owoców. Wreszcie *nienawiść do ruchu!* Tak jest — nienawiść. Polki, uprawiające codziennie kwadrans rannej gimnastyki — tej właśnie, która wprawia w ruch każdy muskuł i zapewnia do późnej starości piękną linję — takie Polki można chyba policzyć na palcach u jednej ręki. Nie trzeba też podkreślać, że uchodzą one wśród znajomych za... nieszkodliwe manjaczki.

Każdej pani, żalącej się na otyłość, dałabym na początek bardzo ostre kazanie „djetetyczne“, a potem kazałabym sobie kupić biet). I niech się z tem zmaga. Ale wiem zgóry, że się zmagać nie zechce, będzie nadal gnuśniała w bezruchu, a konstatując, że jej zeszłoroczne suknie się nie dopinają, jęknie jakby ją kto skrzywdził! Sama droga pani się krzywdzi — niehygjenicznym trybem życia. I ja nic na to nie poradzę...

Żeby nie było tak za trudno odrazu — może na początek spróbują rozleniwione a nazbyt otyłe panie jednego niewinnego ćwiczenia, mającego na celu zredukowanie objętości owego nieszczęsnego brzucha? Stosują to ćwiczenie stale w Ameryce — i rezultaty są dobre. Warto spróbować.

Położyć się na podłodze na plecach. Podnieść obie nogi pod kątem prostym do pleców. Nie kurczyć mięśni ciała, raczej je rozluźnić. Oddychać bez wysiłku. Wciągnąć jaknajsilniej oddechem mięśnie brzucha i pozostać tak kilka sekund. Zrobić wydech i mięśnie rozluźnić.

Ten ruch wzmacnia znakomicie mięśnie brzucha i stapia pokłady tłuszczu pod niemi nagromadzone. Powtarzać tę gimnastykę co rano przed śniadaniem i co wieczór, przed położeniem się spać. Z początku robić ten ruch 10 razy. Stopniowo, po nabyciu wprawy i wzmocnieniu mięśni — dojść do 60 razy.

Stosować to ćwiczenie stale.

Nie spodziewać się, że po pięciu razach rezultat już będzie widoczny, ani że po dziesięciu razach będzie... wiecznotrwały!...

Dama Pikowa.

PORADNIK KOSMETYCZNY PANI ZOJI

Nasz dobry wygląd zewnętrzny oparty jest na ogólnej sprawności organizmu. Tak często mówimy o przemianie materji, wiedząc o kolosalnym znaczeniu jej dla zdrowia, samopoczucia i wyglądu.

Zła przemiana materji — przyspiesza starość, zła przemiana materji powoduje otyłość, ociężałość, zła przemiana materji jest przyczyną wyprysków na twarzy, czerwoności nosa, łuszczenia skóry, wypadania włosów, pękania paznokci i t. d., i t. p.

Dobra przemiana materji uzależniona jest od sprawności dróg oddechowych i pokarmowych. Musimy więc bardzo dbać o nie.

Tymczasem niezupełnie dobrze zdajemy sobie sprawę z doniosłego znaczenia oddychania dla przemiany materji.

Za mało korzystamy ze świeżego powietrza, mówił znany chirurg francuski Pauchet, z tego najcudowniejszego środka leczniczego — tlenu — który nic nie kosztuje.

Przebywanie na świeżem powietrzu, szczególnie w ruchu, utlenia i oczyszcza krew, sprzyja spalaniu tłuszczu, hartuje, wygładza cerę, zwalcza łojotok, wypryski, pobudza prawidłowe funkcjonowanie skóry, zaciska pory, powoduje kolory.

Szczególnie powietrze, obfitujące w tlen, jak w miejscowościach górskich, nad morzem, wśród lasu — jest cudownym środkiem kosmetycznym.

Łojotok, wypryski, ziemista cera, otwarte pory — usuwa przebywanie na dobrem świeżem powietrzu.

Racjonalne odżywianie jest dobrym warunkiem, zapewniającym dobrą przemianę materji.

Racjonalne odżywianie, to nie jest głodówka, czy djeta, to nie znaczy minimum jedzenia — Broń Boże!

To znaczy, że odżywianie nie musi być indywidualne.

W każdym organiźmie jest zazwyczaj brak tego lub nadmiar innego składnika.

Warunki te ustalić bezwzględnie może tylko lekarz specjalista.

Osoby szczupłe muszą spożywać więcej tłuszczu, mącznych potraw, słodyczy — jadłospis jednak powinien ustalić nie kucharz — lecz lekarz, gdyż w zależności od dróg pokarmowych wolno używać sobie na tym lub tamtym.

Skłonni do otyłości mogą jadać więcej mięsa, ale znów bacząc na to, aby artretyzm się nie rozpanoszył — mieć dużo jarzyn w jadłospisie.

Dziwi nas, że w Indjach pożywienie jest całym rytuałem, że przygotowanie pokarmów jest tam jakimś obrządkiem religijnym. Bardzo by i nam się to przydało.

Musimy dobrze indywidualnie dobierać pokarmy, musimy troszczyć się o drogi pokarmowe.

Prof. Pauchet mówił — zdrowa „instestint" (kiszka obwodowa) — to zapewnione szczęście.

Ale jeżeli nie szczęście, to w każdym razie dobra przemiana materji, dobre zdrowie — no i dobry wygląd. Drogi pokarmowe od czasu do czasu trzeba oczyszczać tak, jak robi się wielkie sprzątanie w domu, tym sobie ułatwiamy tę dobrą sprawność organizmu, podstawę dobrego wyglądu.

D. c. n.

Dodatkowych wyjaśnień Czytelnikom „Świata" udziela Pani Zoja w Salonie Kosmetycznym — Wilcza 33.

Nauczycielstwo i młodzież szkolna na F.O.N.

Jak nas informują, do szeregu ofiar, składanych przez różne instytucje, przybywa nowa, cenna ofiara od grona nauczycieli Państw. Gimnazjum i Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Wągrowcu, którzy postanowili opodatkować przez 6 miesięcy swoje pobory — po 1% — na rzecz F.O.N. Z pieniędzy zebranych mają zakupić jeden ciężki karabin maszynowy i wręczyć go Armii.

Przy niniejszym chcielibyśmy nadmienić też o wielkim patriotyźmie uczniów Państwowego Gimnazjum im. A. Asnyka w Kaliszu, którzy przeprowadzają między sobą zbiórkę pieniężną również na zakupienie karabinu maszynowego, który pragną wręczyć jednemu z pułków w Kaliszu.

Oto, jak rozumieją doniosłość celu dozbrojenia naszej Armji uczniowie — ale nie wszystkich jeszcze szkół.

Polonia Amykańska na F. O. N.

Oto mamy do zanotowania nowy fakt ofiarności, świadczący o wielkim patriotyźmie Polaków zagranicą. Klub Pań „Chicago" wpłacił 100.—$, Towarzystwo „Nadwiślańskie" grupa 759 Związku Narciarstwa Polskiego — 25.—$, Pani R. Cyrek — 1.—$ i Polsko-Amerykański Klub Handlowy — 50.—$, przekazując całą gotówkę przez Konsulat Generalny R. P. w Chicago — na F. O. N.

Polonia Amerykańska wychodzi z założenia, że nie można zapominać o Funduszu Obrony Narodowej, że każdy, kto złoży bodaj najmniejszy datek, przyczynia się do wzmożenia obronności Polski, a w szeregach ofiarodawsów nie może zabraknąć tych Polaków, którzy, chociaż są dziś daleko za Oceanem, pamiętają zawsze o potrzebach swego „starego kraju".

MICHAŁ KENT.

JESZCZE JEDEN NABÓJ W LUFIE

Był to bezwątpienia świetny plan. Skoro szczegóły były już obmyślone, potrzebował do wykonania go tylko zimnej krwi. A tej Marcin Culpetter był pewien. Właściwie naprowadziła go na ten pomysł omyłka sekretarki. Stwierdził, że może, nie wymieniając nazwiska, ani w inny sposób nie ustalając osobowości, do tego stopnia naśladować przez telefon głos dyrektora Geralda, iż wprowadzało to w błąd nawet osoby ściśle związane z kierownictwem przedsiębiorstwa. To była zasadnicza podstawa dla całej akcji. Reszta była tylko kwestią odwagi i nerwów.

W myśli powtórzył sobie cały plan. Naprzód droga prowadzi do prywatnego gabinetu dyrektora Geralda, przyczem nikt nie może zobaczyć go idącego lub wchodzącego. To było najprostsze. Długi korytarz pod dachem budynku łączył dyrekcję z biurem prokurentów. Marcin to zbadał: potrzeba piętnastu sekund, aby przejść stąd do dyrekcji normalnym krokiem. Odległość najwyżej trzydziestu kroków. Co mu to przypomina? Coś, z czem często spotykał się w gazetach. Paskudna rzecz, aby właśnie teraz o tem myśleć. „Od celi skazańców do szafotu było nie więcej niż trzydzieści kroków". Zawsze muszą coś takiego pisać. Idiotyzm, akurat teraz o tem myśleć. A więc droga do dyrekcji załatwiona. Panna Burton? Nie potrzeba mu na to więcej niż cztery i pół minuty. Pannę Burton pośle na dół do biura statystycznego po wykazy sprzedaży. Nikt nie dostrzeże w tem czegoś nadzwyczajnego.

Panna Burton wyjdzie ze swego pokoju, będącego jakby antykamerą jego i wywiesi napis „wstęp wzbroniony". W ten sposób nikt do jego pokoju nie wejdzie. Piętnaście sekund, potem stanie przed drzwiami dyrekcji. Jak zwykle, nie powinno tam być nikogo. Pomimo to, trzeba być zawsze przygotowanym na nieprzewidziane, aby nie utknąć na przeszkodzie. Zawsze trzeba mieć jeszcze jeden nabój w lufie.

Przyjąwszy, że wszystko było w porządku, wejdzie do środka. A wtedy zabrzmi hasło: — Chciałbym pokazać panu dyrektorowi zestawienia tygodniowe!

Przyjąwszy, że wszystko poszło dobrze, dyrektor pochyli się odrazu do górnej szuflady biurka po prawej ręce, aby wyjąć poprzednie zestawienia dla porównania. Kładł w to dziecięcą prawie dumę. Nabity rewolwer leżał w tej szufladzie pod papierami, przechowywany tam od czasu strejku węglowego. Stój, poczekaj sekundę! Jeżeli dyrektor zapyta się o rękawiczkę na prawej ręce? Rękawiczka była konieczna. Nie może ryzykować żadnych odcisków palców. Skaleczony palec posłuży wtedy jako wytłumaczenie. Jeżeli ktokolwiek wejdzie i cały plan trzeba będzie odłożyć na później? pięknie, znajdzie łatwo jakąś wymówkę i tylko będzie musiał ponosić jakiś czas rękawiczkę. W każdym razie pozostają jeszcze trzy tygodnie do rewizji a więc nic straconego. A teraz sprawa telefonu. Nie może stracić ani jednej minuty. Połączenia z dyrekcją są zawsze natychmiast dokonywane. Co pocznie telefonistka w centrali, kiedy usłyszy takie wyznanie? Może zemdleje. Tem lepiej. Ale przypuśćmy, że postąpi jak współczesna, rozsądna dziewczyna. Zawoła wtedy najbliższego urzędnika, ten weźmie słuchawkę i potwierdzi potem jej zeznania. W każdym razie Marcin zmierzył odległość między centralą a dyrekcją: siedemdziesiąt dwie sekundy, jeżeli biec. Pozostaje mu więc nadwyżka pięćdziesięciu siedmiu sekund, gdyż w przeciągu piętnastu będzie już z powrotem w swoim pokoju.

A teraz co będzie robił, gdy już wróci, w momencie, gdy straszna wiadomość zostanie mu zakomunikowana? Zagłębi się w kosztorysach zakupów. Ktokolwiek wpadnie do pokoju sekretarki, zacznie dobijać się do jego drzwi, wołać go... Wtedy zagniewany spojrzy sponad papierów na biurku: — Co się stało? gdzie się pali?

Najtrudniejsza część byłaby załatwiona. Chodzi więc tylko o to, aby pewne tajne konto bankowe, wystawione na nazwisko Henryka Scaffolda, przepisać na pana Marcina Culpetter'a. Pan Scaffold, znany bankowi tylko ze swego podpisu wystawi panu Culpetterowi czek w wysokości swego majątku — powiedzmy po kilku miesiącach — i nikt się o tem nie dowie. Podciągnął trochę krawat i zadzwonił na pannę Burton.

— Czy pan dzwonił, panie Culpetter?

— Chciałbym przejrzeć statystyki sprzedaży, panno Burton. A wracając, może pani zabierze kilka kolekcyj próbek. Co za śliczne rozszerzenie zasadniczego planu. Z dziesięć minut minie, zanim panna Burton wróci.

Pół minuty, podczas której Marcin nałożył rękawiczkę i czekał, aby się upewnić, że panna Burton nie wróci przypadkiem — wstał i wyszedł na korytarz.

Trzydzieści kroków do...! Nie, nie myśleć o tem! Jesteśmy przed drzwiami dyrekcji. Wejdź. — Chciałbym pokazać panu dyrektorowi zestawienia tygodniowe. — Wszystko szło świetnie. Nic, coby wskazywało, że rzecz się nie uda.

— A, Culpetter? — dyrektor spojrzał się swoim ciepłym, dobrodusznym wzrokiem. — Nie jest naprawdę dobroduszny — pomyślał Marcin. — Nigdy nie byłby już dobroduszny, gdyby dostrzegł defraudację sześciu tysięcy funtów.

— Dobry tydzień, co, panie dyrektorze?

— Wspaniały! — dyrektor promieniał. — Od prokurenta do maszynistki, Culpetter, mogę się spuścić na moich ludzi!

Musimy porównać z ubiegłym tygodniem. Otworzył szufladę i wyjął stos papierów. Marcin dostrzegł coś błyszczącego na dnie. Starszy pan pochylił się nad szeregami cyfr. Chwycić za broń było dziełem ułamka sekundy. Teraz!

Chyba nikt nie dosłyszał huku w tym hałasie, dochodzącym z ulicy i z oddziału maszyn. Jakie to jest zdumiewająco proste zabić człowieka, pomyślał Marcin.

Starszy pan zaledwie się poruszył i leżał teraz w swoim fotelu, zapadnięty w sobie, z prawą ręką opuszczoną bezwładnie. Na dywanie tworzyła się powoli mała kałuża.

Zaciśnij jego prawą dłoń na kolbie rewolweru. Palec wskazujący na cynglu. W ten sposób. Nie trzeba się spieszyć. Postępuj powoli, systematycznie. Krew! Strzeż się krwi. Listy na biurku? Co on pisał? Handlowe. Wszystko w porządku.

A teraz ten wielki bluff, który wszystko zakończy, nieodwołalnie załatwi. Marcin zakasłał dwukrotnie, aby odnaleźć właściwy ton chrypki i dźwięk głosu starego człowieka. Potem wziął słuchawkę i czekał.

— Tu centrala, panie dyrektorze.

— Tu biuro dyrekcji — odpowiedział, naśladując głos dyrektora. — Teraz proszę uważać na każde słowo, które pani powiem. I proszę nie przerywać. Od dwu lat oszukiwałem akcjonariuszów na każdym kroku. Za dwa tygodnie wyjaśni się wszystko przy rewizji. Jest mi wszystko jedno — ponieważ już wtedy mnie nie będzie. Stoję przy telefonie z rewolwerem w ręku i jeżeli pani jeszcze parę „sekund" poczeka...

Marcin roześmiał się szyderczo.

Wszędzie było zupełnie cicho, niewinnie, tylko tu... tu.. To co było tam w krześle, nie mogło mu już szkodzić. Podszedł do drzwi i ujął za klamkę: została mu w ręku. Przez sekundę zdrętwiał, podczas gdy pręt, umocowany do cięższej, zewnętrznej klamki, chwiał się w otworze. Gdy tak stał, żelazo wyślizgiwało się z każdym ruchem dalej i dalej. W momencie niesłychanego przerażenia, chwycił je niezręcznie i wypchnął całkowicie nazewnątrz. Klamka i pręt spadły z hałasem na podłogę korytarza.

Wyłamać zamek — szybko wyłamać zamek — cośkolwiek, aby nacisnąć spust! Żeby choć pogrzebacz w pokoju, przekleństwo! Niema czasu na zastanawianie się. Pięćdziesiąt siedem sekund, tak to było? Jeszcze zaledwie czterdzieści. Okno! Strata czasu o tem myśleć. Kot nie uratowałby się przez okno, żeby sobie karku nie skręcił.

Otworzyć czemś zamek... czem? nożem do papieru! Złamał się.

Spokoju! Teraz spokoju! Musi być jakieś wyjście, musi.

Dobijają się do drzwi. Pod wrażeniem rozmowy telefonicznej wyważą je natychmiast. To napewno Eckridge tak wali we drzwi, ten prostak! Oni są bez uczuć, nie mają szacunku dla zmarłego. Wiedzą dobrze, że szef leży tutaj z rewolwerem w ręku, a tam Eckridge rozbija się i krzyczy rozkazy: — Sprowadź, który Culpettera! Nie stójcie tak i nie gapcie się!

A szef leży tu z rewolwerem w... z rewolwerem? Stary nie był jeszcze zimny. Nadzwyczajne: jeszcze nie był zimny. Rewolwer dało się łatwo wyjąć mu z ręki. W magazynie było jeszcze pięć nabojów. Wciąż jeszcze jeden nabój w lufie!

Dobijający się z zewnątrz, wstrzymali się przerażeni przez sekundę, kiedy tutaj padł strzał. Po chwili, Eckridge, główny kasjer, wybełkotał: — Panie odpuść nam, mogliśmy przyjść w porę! — I wyważyli drzwi.

Wewnątrz Culpetter padał na podłogę, przyciskając jeszcze do piersi rewolwer dyrektora Geralda. Był jeszcze przytomny, ale coś mówiło mu, że to długo nie potrwa. W tej chwili przeszło mu przez myśl: — mogłem powiedzieć: — Właśnie kiedy wszedłem, Gerald wpakował sobie kulę w czoło. Przyszedłem o sekundę zapóźno. To byłoby wyjście. Takie proste!...

Eckridge pochylił się nad nim: — Boże, Culpetter, co panu?

Prokurent spojrzał na niego zamglonym wzrokiem:

— Posłuchaj, panie Eckridge, mojej rady — szepnął — myśl zawsze o rzeczach najbliższych, zawsze jeszcze jeden nabój..

Głowa jego głucho uderzyła o podłogę. przeł. W. P.



Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. p. Irena Regicz-Pieczonkowa

b. artystka teatrów miejskich w Krakowie i Lwowie zmarła dn. 17 bm. po operacji w Zakładzie Dr. Stankiewicza „Zdrowie".

Przedwcześnie zgasła artystka odznaczała się nieprzeciętnym talentem, (który odzwierciadlał się w jej repertuarze przeważnie klasycznym), dużą kulturą i wybitną urodą.

Z wielkim sukcesem kreowała czołowe role w sztukach: „Nora", „Żywy trup", „Pigmaljon", „Byle świat zadziwić", (jako partnerka ś. p. Mieczysława Frenkla), „Djabeł w zalotach", „Warszawianka", „Car Aleksander" i wielu, wielu innych.

Brała czynny udział w obronie Lwowa: utrzymywała kontakt pomiędzy rozrzuconymi odcinkami wojsk polskich i została zraniona odłamkiem granatu nieprzyjacielskiego.

Poślubiła oficera W. P., ppułkownika Pieczonkę Eugenjusza. Prawość i szlachetność charakteru zjednały jej wielu przyjaciół, którzy serdecznie boleją nad jej przedwczesnym i tragicznym zgonem.



ŚWIAT



Margot Graham nakręca obecnie szereg filmów wytwórni R. K. O. Radio. Jest to jedna z najpracowitszych aktorek Hollywoodu.

„Szarża lekkiej brygady"
Bałtyk

Pamiętni bohaterowie „Kapitana Blood'a" Errol Flynn i Oliwia de Havilland ukazali się znowu razem w bohaterskim rapsodzie Warner Bros. p. t.: „Szarża lekkiej brygady".

Scenarjusz filmu, oparty na poemacie Alfreda Tennysona, opiewającego szaleńczą szarżę kawalerji brytyjskiej pod Sebastopolem, napisany ciekawie i żywo posłużył znakomitemu reżyserowi Michaelowi Curtizowi (realizatorowi „Kapitana Blood'a") do stworzenia bohaterskiego eposu na miarę niezapomnianego „Bengali".

Egzotyczne tło, barwnie uwydatnione przez efektowną szatę dekoracyjną, piękne zdjęcia plenerowe i porywający rytmem i ciekawą instrumentacją marsz 27-go pułku lansjerów stanowią piękne ramy, wśród których w oślepiającym blasku słońca rozgrywa się interesująca akcja.

W oszałamiającym tempie prowadzi nas Curtiz wraz z bohaterskimi lansjerami 27-go pułku poprzez spalone słońcem stepy, przerzuca nas z Indii na Krym, pędzi do szarży razem z lekką brygadą.

Piękna postać majora Vickersa, ożywiona wspaniałą grą Errola Flynna porywa nas swą rycerskością i pogardą śmierci.

Szlachetne, marsowe sylwetki generałów brytyjskich, nakazujące swym wyglądem i bohaterskim zachowaniem szacunek, każą nam przeżywać momenty wzniosłe i tragiczne. Spokojna duma i żołnierska obowiązkowość tych starych lwów, rzuconych zdala od ojczyzny, ich patriotyzm i odwaga przykuwa nas i porywa. Zapominamy o straszliwej grozie nowoczesnej wojny, o milionach trupów z pod Verdun, przeżywamy rycerską rapsodię wśród szczęku oręża, huku skałkówek i gwizdu kul.

Mistrzowska reżyseria Curtiza, jego niebywałe opanowanie tłumów i brutalny realizm scen batalistycznych dają wrażenie prawdziwości tak przekonywujące, że nie dostrzega się powtarzanych zdjęć, nie wnika się w celowość szaleńczej szarży, nie zauważa się usterek, szczęśliwie nielicznych, lecz pędzi się na skrzydłach rozszalałych rumaków na wrogie baterie, aby wśród huku dział i kurzu bitewnego dokonać krwawego dzieła zemsty.

J.

„Zapomniana symfonia"
Atlantic

Dość rzadko widzimy na ekranach stołecznych prawdziwie dobrze zrobione poważne dramaty filmowe. Wśród mnóstwa komedii salonowych, fars, operetek przewinie się od czasu do czasu film głębszy, w którym interesujący scenariusz wysuwa się na plan pierwszy, w którym akcja jest dość ciekawa na to, aby przykuć uwagę widza; w którym prawda przeżycia jest dostatecznie przekonywująca, aby obejść się bez wspaniałej oprawy dekoracyjnej, bez tricków fotograficznych, bez tysiąca zbędnych upiększeń.

Takim filmem w dobrym gatunku, dramatem ciekawym i konsekwentnie przeprowadzonym jest bezsprzecznie życie Krzysztofa Freymana, dzwonnika z Tyrolu, pięknie odtworzone w „Zapomnianej symfonii" przez nieznanego w Polsce Jean'a Hersholta. Odbiegający od utartego

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

szablonu temat potraktowany został starannie zarówno przez reżysera (Gregory Ratof) jak i przez czołowego odtwórcę. Świetnie podpatrzony typ psychologiczny spokojnego, zrównoważonego, nieskomplikowanego człowieka, jego głęboka, tragiczna w swym starczym egoizmie miłość do synów, którzy w bolesny sposób zawodzą jego ambicje i pragnienia, został przez Hersholta podany znakomicie, prosto i naturalnie.

Film utrzymany konsekwentnie w jednolitym nastroju, zatrącający mistycyzmem, mimo pewnych przewlekłości stanowi całość ciekawą i sugestywną, chociaż wielokrotnie szablonowe sytuacje i zbytnie uproszczenia wywołują zastrzeżenia i wrażenie braku przygotowania. Na specjalne wyróżnienie zasługuje świetna w swej tępocie maska kilkunastoletniego aktora, grającego trudną rolę głuchego Gabriela. Znakomita mimika, tragiczna ekspresja i sugestywna gra młodocianego artysty stanowią świetne dopełnienie przeżyć nieszczęśliwego ojca.

Podkład muzyczny dyskretny, sylwetki naszkicowane prosto i celowo, ciekawa fabuła i duża naturalność wystawienia stwarzają z „Zapomnianej symfonii" film godny uwagi.

Jedynie scena z wesela u — prawdopodobnie — emigranta polskiego Twitchelesko (?) zakończona dziwnemi podskokami, mającemi — jak wynika z muzyki — imitować mazura — jest niemiłym zgrzytem w tym niezaprzecznie udanym filmie.

J.



Katarzyna Hepburn — niezapomniana „Maria Stuart" występuje w wielkim filmie R. K. O. Radio p. t. „A Woman Rebels" („Zbuntowana").

FRED ASTRAIRE DEBIUTUJE JAKO PIANISTA.

Wszechstronnie utalentowany Fred Astaire, który dotychczas zbierał laury jako najświetniejszy tancerz świata i jako doskonały piosenkarz, zapragnął obecnie sławy w nowej dziedzinie. W ostatnią sobotę zadziwił całą Amerykę swoim debiutem w radio jako pianista. Cały szereg piosenek granych przez niego i nadawanych na całą Amerykę wzbudził dla jego interpretacji powszechny zachwyt. Nie dość na tym. Fred Astaire nie tylko grał cudze utwory przy akompaniamencie znanej orkiestry Johna Greena, lecz także grał piosenkę swojej kompozycji p. t. „Jeszcze jeden taniec, madame".

ROBOTNIK AKTOREM KINOWYM.

Prasa amerykańska szeroko rozpisuje się na temat filmu „Ludzie żelaza", w którym wystąpi po raz pierwszy zwykły robotnik William Haade. Haade nigdy nie grał w filmie, nic nie ma wspólnego z teatrem. Jest to więc materiał absolutnie surowy. Otrzyma on 600 dolarów tygodniowo za wykonanie głównej roli w filmie „Ludzie żelaza" osnutym na tle życia robotników w hutach żelaznych.

Fakt zaangażowania zwykłego robotnika do filmu motywuje reżyser wytwórni „Metro — Goldwyn — Mayer" tym, że pragnie osiągnąć realistyczny typ najbardziej zbliżony do rzeczywistości. W dziennikach ukazały się wywiady z Williamem Haade, którego występ na ekranie, wzbudza zrozumiałą sensację.

ŚWIAT FILMU



Ginger Rogers urocza gwiazda RKO Radio.

„Pani Minister Tańczy" Apollo

Strasznie ubogo przedstawia się polska produkcja filmowa. Mimo wielkich ilości wytwarzanych obrazów, mimo dużej rozpiętości tematów, mimo wciągania nowych sił, całość polskiej produkcji sprawia wrażenie błędnego koła.

Ci sami ludzie we wszelkich możliwych kombinacjach i konfiguracjach kręcą poważne dramaty i lekkie komedje, te same tematy wałkuje się wielokrotnie aż do znudzenia, w coraz to innym oświetleniu, nastawieniu i zespole.

Wynikiem tej polityki jest absolutna niemożliwość stworzenia filmu całkowicie, skończenie dobrego. W najlepszych nawet obrazach spotykamy niewybaczalne słabizny, przy dobrym scenariuszu zawodzi reżyser lub aktorzy — stale rażą nas pewne niedociągnięcia.

Film „Pani minister tańczy" widzowi nastrojonemu dość optymistycznie, publiczności nie wnikającej zbyt drobiazgowo w szczegóły może się nawet zupełnie podobać, jako, że jego żywość i melodyjność przy niekoniecznie rewelacyjnej treści nastraja nas pogodnie i beztrosko.

Scenarjusz Anatola Sterna i Allana Turskiego posiada wiele ciekawych pomysłów, pewną świeżość tematu, dużo standartowych tricków i sytuacji, ale nie wykracza ponad poprawną przeciętność. W djalogach Konrada Toma ukrywa się wiele niezłych dowcipów, ale nie brak również banału i teatralności. Teksty piosenek Jurandota skandalicznie nierówne. Obok interesujących słów Habanity i miłej treści walca, uderzają nas fałszywie częstochowskie rymy slowfoxa. Pełnowartościowa jest jedynie muzyka Henryka Warsa, której obfitość i rozmaitość powitać należy z całkowitem uznaniem.

Zespół aktorski wybrany starannie, mógłby zadowolić całkowicie, gdyby nie fałszywe nastawienie reżyserji, traktującej temat zbyt farsowo.

Tola Mankiewiczówna w podwójnej roli „pani ministra" i gwiazdy kabaretowej dała nam dużo dobrego śpiewu i pokazała wiele ciekawych toalet. Żabczyński, mdły i bezbarwny, wniósł przesadną staranność i brak polotu. Ćwiklińska i Orwid tworzyli parę zbyt farsową jak na operetkę, ale wyrobienie aktorskie pozwoliło im trafnie wywiązywać się z niewdzięcznego zadania. Sielański zdecydowanie się powtarza, Znicz przesadnie szarżował, a Hnydziński w epizodycznej roli zademonstrował, jak nie należy grać w filmie.

Całość wystawiona starannie w bardzo dobrej oprawie dekoracyjnej, ożywiona miłą muzyką Warsa i pięknym śpiewem Mankiewiczówny mimo omówionych poprzednio niedociągnięć stanowi widowisko niepozbawione wdzięku z szansami powodzenia.

Nadprogram rewelacyjnie dobry film rysunkowy Columbii z cyklu Color Rhapsodies „Niebieski ptak" (Doctor blue bird) wywołuje entuzjastyczne oklaski publiczności. *J.*

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona", Warszawa